Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 22. Lutego 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 8.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f. We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

O CHLEBIE LITERACKIM.

I.

Słowo „literat“ ma bardzo ogólnikowe znaczenie, o niepewnych granicach. Literatem do pewnego stopnia możnaby nazwać każdego pisarza, do czego i samo pochodzenie wyrazu upoważnia, a przecież nie zawsze możemy jedno słowo zamienić drugiem. I tak uczonego badacza na jakiemkolwiek polu naukowem, systematycznie uprawiającego pewien dział nauki i jemu wyłącznie oddanego, jak n. p. Lelewela niepodobna nam nazwać literatem; jeżeli jednak ten uczony oprócz rzeczy ściśle naukowych, dotyczących swojej specjalności, będzie pisał artykuły popularyzujące naukę i różne inne luźne rzeczy, wiersze, dramata i t. d. jak n. p. Szujski, to już tytuł literata może do niego przystawać, jakkolwiek jeszcze niezupełnie wygodnie, dla tego i Szujskiego wolimy nazywać historykiem, niż literatem. Trudno nam także nazwać tem imieniem jakiegoś wielkiego poetę, np. Mickiewicza, ale już przy Brodzińskim tytuł ten nas by nie raził, choć również jak przy Szujskim nie był by jeszcze zupełnie trafnie umieszczony.

Poszukajmy więc w literaturze naszej kogoś ze znanych powszechnie osób, do któregoby ten tytuł najlepiej przystawał. Oto jest n. p. Lucjan Siemieński. Pisze poezje, ale nieśmiertelnego imienia nie zdobywa sobie na Parnasie; i pisze recenzje i sprawozdania literackie pełne smaku, maluje zajmujące portrety literackie ale czyni to wszystko dorywczo, pobieżnie, w systematyczny całokształt nie ujmuje nietylko całych dziejów literatury naszej ale nawet jednej jakiejś epoki; oprócz tego pisze drobne powiastki, wydaje legendy ludowe, układa Wieczory pod lipą. Możnaby go nazwać i poetą i krytykiem, ale żaden z tych wyrazów z osobna i oba złączone razem nie obejmują dobrze całej jego literackiej działalności i nie dobrze ją charakteryzują. Tylko wyraz „literat“ obejmuje doskonale to wszystko i Siemieński par excellence jest literatem.

Z zestawienia tych przykładów można wyprowadzić wniosek, że do pojęcia „literat“ w ściślejszem znaczeniu tego słowa, przypisujemy pewien brak systematyczności, pewną dorywczość, a zarazem encyklopedyczność pracy umysłowej.

Wszystkie te cechy zostają w ścisłym związku z zawodem społecznym, z ekonomicznem stanowiskiem literatów. Człowiek systematycznej pracy na polu naukowem, oddany wyłącznie swojej specjalności, matematyk, naturalista, chemik, historyk, a nawet filozof, prędzej czy później znajduje w machinie społecznej jakieś odpowiednie stanowisko, byt jego raz na zawsze zabezpieczające, czy to na katedrze, czy w laboratorjum, czy w gabinecie, czy w bibliotece, czy gdzieindziej. Systematyczność i specjalność jego wiedzy wyjednywają mu to stanowisko.

Brak systematyczności i specjalności wiedzy i pracy literata jest przyczyną, że nie może się on doczekać ustalenia losu. Pod tym względem nie ma tu już różnicy pomiędzy większym a mniejszym talentem, pomiędzy wielką, nieśmiertelną nawet sławą a hałasem chwilowego powodzenia. Autor Pana Tadeusza tak samo nie miał zapewnionego jutra, jak pierwszy lepszy bazgracz dziennikarski, a kiedy został profesorem, musiał pożegnać się z poezją, bo swoboda twórczej fantazji poetycznej nie mogła się pogodzić z systematycznością pracy pedagogicznej. Przeciwnie matematyk, chemik, historyk i t. d. obejmując katedrę nie potrzebują się rozstawać z twórczą pracą w swej ukochanej specjalności, i owszem, uzyskują nawet nowe środki do tej pracy.

Tak więc położenie ekonomiczne literata nie jest do pozazdroszczenia. Z tego powodu los poetów, literatów od wieków uchodził za taki, który potrzebuje wyjątkowej opieki. Za przykładem rzymskiego Augusta wszyscy monarchowie, którym do wszechstronnego uświetnienia swoich rządów potrzeba było literatury, stawali się protektorami literatów, przyciągali ich do swego dworu, wyznaczali im pensję, nadawali dobra. Przykład koronowanych mocarzy naśladowali magnaci i literatura przez wieki była niemal wyłącznie na utrzymaniu możnych. Trudno nawet sobie wyobrazić, aby mogło być inaczej. Wyższa oświata, smak wytworniejszy rzadko kiedy wychodził poza obręb dworów i pałaców arystokratycznych. Tylko tam umiano dostatecznie ocenić wykończenie formy, subtelność dowcipu, harmonijność układu, w ogóle artystyczną stronę dzieł sztuki. Przytem potrzeba czytania za mało była rozwiniętą w warstwach średnich, aby nawet sławny i płodny pisarz mógł żyć wygodnie z samej rozprzedaży dzieł swoich. Chcąc się wyłącznie oddawać poezji, literaturze, chętnie przyjmował protektorską rękę jakiegoś wielkiego pana, który zabezpieczając materjalny byt jego, znał się przytem na artystycznej wartości jego utworów.

Ale ta protekcja nie mogła pozostać bez silnego wpływu na charakter literatury. Mało było w poprzednich wiekach poetów, którzyby tyle co Kochanowski, mieli prawa powiedzieć: „sobie śpiewam i muzom“, mało tak wymagających protektorów jak Myszkowski, Zamojski, Batory, a przecież i Kochanowski, pomimo całej swej niezależności, kierował się nieraz w pisaniu względem na osoby protektorów. Cóż mówić o innych, cóż mówić naprzykład o pisarzach francuskich otaczających tron Ludwika XIV, albo o naszych Stanisławowskich poetach? Nawet taki olbrzym jak Szekspir poddawał się dworskiemu wpływowi, z tą tylko różnicą, że ten wpływ prześlizgiwał się niejako po powierzchni jego utworów, nie mając siły wryć się głębiej i radykalnie wpłynąć na ich przeobrażenie.

Jakiż to był wpływ? Protekcja odbierała niezależność pisarzom. Wdzięczność lub obawa utraty chleba z jednej strony popychała ich do pochlebstwa, z drugiej nakazywała stosować się do smaku estetycznego protektorów. Gdyby zliczyć wszystkie pochlebstwa, jakie wydała literatura zostająca pod protekcją możnych, ilość ich okazałaby się przerażającą. Zresztą dość przypomnieć panegiryczny okres naszej literatury, który

jest niemal jedną wieiką summą niedorzecznych pochlebstw. Co się tyczy stosowania się do smaku protektorów, wpływ tu był po części zły, po części dobry: zły o tyle, o ile sztuczna wytworność i płytka polerowność wyżej była cenioną od naturalności i szorstkiej często siły wyrażeń; dobry o tyle, o ile poeta, pisarz, chcąc się podobać sferze czułej na harmonję form, obdarzonej większą subtelnością uczuć, starał się o podanie swej treści w jak najbardziej harmonijnych i wykończonych formach i o ile swobodniej mógł rozwijać lot myśli, mając do czynienia z najwykształceńszą i najartystyczniej usposobioną warstwą społeczną.

Takim był chleb literacki dawniej. Literat, który znalazł protektora, mógł być spokojnym o swój byt materjalny aż do końca życia, mógł swobodnie oddawać się literaturze, nie szamocąc się z biedą, nie zaprzątając myśli codziennymi troskami. Ale jeżeli żelazne kajdany nędzy rąk mu nie gniotły, czuł on przecież na nich ciężar złotego łańcucha, który je skuwał.

Jakim jest chleb literacki dzisiejszy, pomówimy o tem w następnym artykule.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

A teraz kiedy akcja polityczna osiągnęła już w Wilkowie pierwszy swój rezultat dodatni, porzućmy na chwilę kult Minerwy i zwróćmy się do dzieł innej bogini — równie jak tamta nie mogącej wykazać, w urzędzie heraldycznym na Olimpie, kto był jej matką. Ażeby mię nikt nie posądził o chęć układania łamigłówek mitologicznych, więc powiem od razu, że jest tu mowa o cypryjskiej Afrodycie, i wspomnę tylko nawiasem, że po głębokiem badaniu udało mi się dociec nader bliskie pokrewieństwo między obiema temi paniami. Myli się mianowicie Hezjod utrzymując, że Wenus wyszła z piany morskiej — wyskoczyła ona owszem, równie jak Pallas Athene, z głowy Jowisza. Tylko że rodząc opiekunkę mężów stanu i strategów, Jowisz miał głowę pustą, a przynajmniej suchą — podczas gdy przy urodzinach bogini miłości szumiał w niej i pienił się szampan, któremu Grecy, nie znając go, dali fantastyczną nazwę *nektaru*. O prawdzie tego ważnego odkrycia, któregoby mi Anakreon pozazdrościł, może się z łatwością przekonać każdy śmiertelnik za pomocą bardzo prostego eksperymentu: niechaj wypije butelkę pochodzącą od jakiej dobrej firmy w Epernay, Ay, albo Rheims, a wnet urodzi mu się w mózgu coś podobnego do genialnego pomysłu ojca bogów, podczas gdy w zwykłym stanie pustkowie to zajęte jest kombinacjami politycznemi, wyczytanemi z gazet. Nie ręczyłbym, czyli Zeus nie czytał *Orędowniczki Wilkowskiej*, płodząc Minerwę i oddając jej wyłączne panowanie nad umysłem sekretarza Kluszczyńskiego — to zaś wiem z pewnością, że był najmniej po jednej butelce Sillery Sec, kiedy mu się przyśniła panna Natalia.

Onego dnia, kiedy w skutek sfałszowania sławnej »czerwonej listy« szanowny sekretarz zaledwie na czele szczupłej garstki zwolenników swoich wszedł w skład komitetu przedwyborczego, wrócił on do domu późno i w nader dwuznacznym humorze. Ruchy nóg, nieco fantastyczne i niekoniecznie zgodne z zasadą, iż linja prosta jest najkrótszą i najprędzej prowadzącą do celu — różne nieprzewidziane karambole z furtką, z ławkami na ganku i z szafą w sieniach, jak niemniej inne oznaki tego rodzaju, pozwalały spodziewać się wybuchu czułości któryby wróżył coś nakształt biletu do loży w teatrze, albo kilkunastu par rękawiczek po same łokcie, zapinanych na dwadzieścia guzików, albo nawet, modnej sukni. Niestety atoli, wszystkie te dobre *omina* były tylko powierzchownemi i nie dowodziły tym razem niczego więcej, jak tylko tego, że miód u Leizora jakkolwiek wytrawny i stary (miał bowiem już blisko ośm miesięcy) nie zdołał przywrócić równowagi zwichniętej chwilowym tryumfem Ciemięgi. To samo zjawisko objawiło się zresztą u pp. Kosturskiego, Wtorkowskiego, Czwartkiewicza i innych obywateli, którzy wraz z sekretarzem, zaraz po nieszczęsnem onem skrutynium, poszli byli do Leizora pożywić się szczupakiem nadziewanym na zimno, albogęsiną, i odwilżyć gardła napojem, o którym Milicjanie i Landweryjczycy utrzymują, że wynaleźli go ich przodkowie, podczas gdy w istocie — teraz przynajmniej — wyrób jego jest tajemnicą i monopolem synów pokolenia Judy i Benjamin, jakoteż Lewi, mocno w Milicji rozsiedlonych. Ryfcia, młodsza panna Leizorówna, uważała już zaraz po sposobie, w jaki panowie ci zajęli swoje miejsca w zarezerwowanym dla nich ciasnym alkierzyku, że sytuacja polityczna jest cośkolwiek niejasną — żaden bowiem z przybyłych nie zrekognoskował bliżej jej różnorodnych wdzięków, jak to było uświęconym od dawna obyczajem. Młody Nuchim, stawiając przed każdym gościem kufel miodu, nadaremnie układał niemądrą twarz swoją do jeszcze bardziej niemądrego uśmiechu — wbrew wszelkiej tradycji nikt nie spytał go, kiedy się myśli żenić, jak pojmuje stan małżeński, i jak sobie zamierza w nim postępować. Nakoniec i oficjał Kostruba, który oddawna czekał na towarzystwo i był już przy szóstej szklance miodu (nie licząc anyżówki, którą przeplatał jednostajność tego napitku) pół godziny daremnie i ku wielkiemu zaniepokojeniu swemu czekał, ażeby go kto zainterpelował, równie jak co wieczora, »jak to było z owym kogutem« i w końcu bez interpelacji jął opowiadać, że nie był to kogut od kury, ale od kuropatwy, któremu on, Kostruba, odstrzelił raz na polowaniu pióro z ogona, i ma je teraz w domu, zatknięte za zwierciadłem. Opowiadanie to przeminęło bez opozycji i bez komentarzy—wszyscy pili dużo wprawdzie, ale w milczeniu, zapłacili i poszli. Podobnie było i w domu. Nadaremnie pani sekretarzowa, posuwając pobłażliwość małżeńską do takiego stopnia, do jakiego w interesie dobrej dresury mężów żadnej niewieście posuwać jej nie radzę, pomagała sekretarzowi uwolnić się od kapelusza i laski, i pytała go przytem z uśmiechem:

— Jakże, czy dobrześ się bawił?

Mruknął tylko, i usnął, nic nie odpowiedziawszy.

Nazajutrz było jeszcze gorzej. Kawa była szczególnie wyśmienitą, a do kawy grzanki tak znakomite w swoim rodzaju, jak Patti w swoim.

— Natalja chciałaby być jutro na zabawie ogrodowej, — zauważała pani sekretarzowa, ufna w ten tryumf swojej sztuki piekarskiej.

— Wam tylko zabawy w głowie! Zresztą, idźcie sobie, gdzie chcecie.

— Same przecież iść nie możemy, i o to właśnie chodzi, ażebyś ty poszedł z nami.

— W imię ojca i syna, kobieto, co tobie w głowie! Ja mam chodzić po zabawach, kiedy sprawa publiczna jest w niebezpieczeństwie! Arystokracja bierze wszystko za łeb, Skirgiełło górą, a wam tylko zabawy, zabawy!

Czytelnik raczy zapewne pamiętać, że działo się to jeszcze nim dr. Mitręga zapowiedział wizytę hr. Skirgiełły u pp. Kluszczyńskich.

— Taka zabawa, to także sprawa publiczna, wiesz przecie że mamy sprzedawać losy na cel dobroczynny. Zresztą jeżeli na żaden sposób nie możesz iść z nami, to poprosimy kogoś, ażeby nam towarzyszył — ot, np. Wołodeckiego...

— Co?! Krzyknął p. Kluszczyński z roziskrzonym wzrokiem — tego zdrajcę! Tego łotra! Tego...tego Skirgiełczyka?! Hoho, niech-no mi się na oczy pokaże, dam ja mu! Gdybym miał... nie wiem co... gdybym miał żydom wodę nosić, nigdy nic takiego, co ma stosunki ze Skirgiełłą, nogą mojego progu nie przestąpi! Przysięgam na honor!

— Co też ojciec upatrzył sobie do tego hr. Skirgiełły, — wtrąciła w tej chwili panna Natalia, która słuchała całej rozmowy z drugiego pokoju. Taki pan, całą gębą, a przytem z pewnością dobry patrjota. Pamięta mama, jak uprzejmie rozmawiał z nami na balu Dzieciątka Jezus?

— A, prawda, mówił mi, że jesteś podobną do jakiejś królowej... tylko nie przypominam sobie, zdaje mi się, że do angielskiej...

— Co też mama mówi! Angielska królowa ma już wnuczki w moim wieku! Mówił, że jestem podobną do królowej Małgorzaty, jak ją widział przed ślubem, a później pytałyśmy się Wołodeckigo i powiedział nam, że to królowa włoska, ale że... nie umyła się do mnie...

— Bardzo uprzejmy człowiek, bardzo.

— Kto, Wołodecki? Cóż kiedy czasem wygląda, jakby trzech zliczyć nie umiał.

— Ej, kto tam mówi o Wołodeckim! Ja mówię o Skirgielle. Pamiętasz, kiedy się dowiedział, jak jestem z domu, to zaraz sobie przypomniał, że jego ojciec znał bardzo dobrze mojego ojca. (Co n. b. było wierutną prawdą, bo ojciec pani sekreta-

rzowej służył w skarbie Podolińskim hr. Skirgiełłów.) Bardzo uprzejmy człowiek!

— Już to czy uprzejmy, czy nie uprzejmy—wtrącił ostro sekretarz, zabierając się do wyjścia — czy Skirgiełło, czy Wołodecki, niechaj mi się tu nie pokazuje, bo inaczej... no, zobaczycie!

Nastąpiło jeszcze krótkie wyjaśnienie powodów gniewu p. Kluszczyńskiego na Stanisława, poczem pan domu wyszedł zajmować się dalej sprawami publicznemi.

— Terefere kuku! — rzekła p. sekretarzowa po milicyjsku — przyznam ci się moje dziecko, cała ta polityka już mi kością w gardle stoi. Trudno zresztą trzymać cię w domu pod szklannym kloszem...

— Bo też nie ma co zważać na to, co ojciec mówi. Teraz tak, a za parę godzin będzie inaczej. Ja myślę, że doprawdy niechajby mama napisała bilet do Wołodeckiego, prosząc go, ażeby nam towarzyszył do parku...

— Ba, a jeżeli przyjdzie tu i zastanie ojca, to gotowo przyjść do jakiej nieprzyjemnej awantury.

— To niech mama napisze, żeby przyszedł teraz, kiedy ojca nie ma, i pewnie nie przyjdzie aż koło trzeciej albo czwartej popołudniu, ułożymy z nim, jak to zrobić. Moja słodka mamunciu! — dodała, wtykając jej w rękę pióro i sadzając ją przy stoliku.

— No, no, cóż mam robić z tobą, ty moja pieszczotko... ale, hm, hm, nie sądziłam, żeby ci tak zależało na tym Wołodeckim.

— Bo też mi wcale nie zależy na nim, ale cóż robić, kiedy na razie nie ma nikogo innego? Zaraz idę; zawołam Maryśkę, niech idzie z biletem.

Tak tedy stało się, że p. Stanisław po owej długiej rozmowie z Śmiechowskim i po śniadaniu w restauracji hotelowej, wróciwszy o pół do trzeciej do domu oddawać się rozpaczy i smutkowi, spotkał na dole stróżychę, znaną nam już z poprzedniego rozdziału, i dowiedział się od niej, że jakaś służąca od jakiejś pani przyniosła list do niego. Było trochę kłopotu z odszukaniem depeszy, bo ją dzieci gdzieś zatrąciły, ale w końcu znalazła się, a rozwarta, zabłysła jak słońce, rozdzierające promieniem swojem czarne, ponure wały chmur burzliwych.

Krzyknąć, wylecieć na ulicę, wskoczyć do dorożki, wszystko to było dla Stanisława dziełem jednej sekundy. Ale nadaremnie wołał na woźnicę: jedź, jedź prędzej! Nadaremnie ten ze swojej strony okładał biczem jasnokościstą kobyłę, która po każdem uderzeniu machała tylko resztkami ogona i podskakiwała w miejscu, udając, że się bardzo spieszy. Myśli naszego bohatera biegły prędzej od niej, prędzej od pary, od iskry elektrycznej, od światła, a po nad ich tłokiem górował pewnik matematyczny, niezbity, że mimo gniewu sekretarza ma on w tym domu jakiś punkt oparcia, skoro — tu wyjął list na nowo i przekonał się raz jeszcze, że nie jest on senną marą — skoro sekretarzowa pisze wyraźnie: *mamy* interes do pana... *chciałybyśmy* widzieć się z nim... *prosimy* odwidzić nas *zaraz*. »Zaraz« podkreślone, wszystko inne w liczbie mnogiej, a to z powodu, że *dualis* wyszedł z używania. A więc chcą się z nim widzieć, sekretarzowa, i — ona! Nie, dłużej niepodobna mu było wytrzymać tego galopowania w miejscu, wyskoczył, rzucił dorożkarzowi jego należytość i pobiegł piechotą.

Dorożkarz, zdziwiony, nawrócił, i wolnym krokiem wracał do miasta. Kiedy przejeżdżał po przed pomieszkanie Stanisława, stali tam na progu: stróż Jan, listonosz, listonoszowa, woźny i Janowa.

— *Szpener!*—zawołała Janowa *) — a gdzie zawieźliście tego pana?

— Licho go tam woziło, wyskoczył i pobiegł piechotą.

— O — rzekł woźny — nie chciał ażeby kto mógł wiedzieć, dokąd go tak pilno było potrzeba.

— Ja wam zaraz mówiłam — zawołała przekonująco Janowa, że to ta sama jakaś *publika*, co onegdaj.

— A-ha, *szon gut* **) ta, co nie lubi *zawołoki* — rzekł woźny.

— Fe, wstyd — rzekła Janowa — taki porządny człowiek, profesor, żeby się wdawał z *publikami!*

— *Szon gut* — powtórzył woźny.

Towarzystwo medytowało w ten sposób czas jakiś, poczem się rozeszło.

Tymczasem p. Stanisław, zadyszany i zgrzany biegiem w dwudziestokilkostopniowym skwarze słonecznym, na pół żywy i półtora raza więcej niż potrzeba czerwony, wpadł do dworku pp. Kluszczyńskich, gdzie widok jego wywołał niemal przerażenie p. sekretarzowej. Panna Natalja śmiała się tylko — miałaż może płakać, że młodzieniec tak się zmęczył na jej skinienie? Uchwalono wszakże, że trzeba mu dać wody z konfiturami różanemi, i niechaj trochę odpocznie, bo mówić nie może. Stanisław wziął do ust łyżeczkę konfitur i popijał wodą, gdy na ganku dał się słyszeć krok pospieszny i głos wołający:

— Magdziu! Magdziu! (Pani Kluszczyńskiej było na imię Magdalena) Magdziu!

Obie panie spojrzały na siebie, mocno zmięszane. Stanisław poznał głos p. Kluszczyńskiego i odjął od ust szklankę z wodą, trzymając ją w powietrzu.

— Magdziu, serce, trzeba tu panie te, panie tego uprzątnąć wszystko jak należy, i poznosić wszystkie krzesła, jakie są, do bawialnego pokoju: dwanaście z jadalnego, sześć z mojego, sześć z waszego. Hrabia Albin Skirgiełło, głowa i nadzieja naszej partji, pierwszy patrjota w kraju, będzie dzisiaj tu, o tu, u nas. Nie damy się *Rakowi* i Rakowiczanom! Tylko Magdziu, duszo, panie te, panie tego, żeby wszystko było, jak należy! A — pan Stanisław! Kochany Stanisławie, pójdź tu Stasiu, niech cię panie te, panie tego, uściskam! Genjalnie, przewybornie się spisałeś wczoraj! Odgadłeś moją myśl, jakbyś w niej czytał. Ho, ho, ja nie dzisiejszy polityk! Bo to, widzisz, z naszymi kołtunami nie można tak iść prosto naprzód, tu trzeba jak z tym osłem, co to panie te, panie tego nie chciał iść przez most, póki go ktoś za ogon w tył nie pociągnął. Jakże się masz, kochany Stanisławie? Daruj, że wczoraj musiałem odegrać komedyjkę, i udawać niby oburzonego, zrozumiałeś oczywiście, że to była polityka. Chwacki chłopak z ciebie, i hrabia Skirgiełło z nami. Górą nasza! Panie te, panie tego!

Ani pani Kluszczyńska, ani panna Natalja, ani Stanisław nie mógł oczywiście jakoś tak na prędce nabyć przekonania o przebiegłości dyplomatycznej p. sekretarza, ale ponieważ niespodziana ta zmiana sytuacji była wszystkim na rękę, więc przyjęto ją z radością nie badając jej bliżej. Stanisław dowiedział się, że ma nazajutrz towarzyszyć paniom na zabawę ogrodową, i nie posiadał się z radości. Wieczór był na owej konferencji, gwoli której skoncentrowano wszystkie krzesła pp. Kluszczyńskich w bawialnym pokoju, i na którą, jak już wiemy, hr. Skirgiełło nie przybył, wyjechawszy na łowy w górach, i poleciwszy dr. Mitrędze schłostanie Rakowiczan za to, że chcieliby, ażeby każdy tak jak oni zasypiał stosowną chwilę służenia sprawie publicznej. Fakt ten, dzięki przedstawieniu dr. Mitręgi, że hrabia wezwany sztafetą wyjechał w tajnej misji do Krachenburga, nie zmniejszył w niczem jego popularności, a nawet dr. Mitręga, jakkolwiek dotychczas mało znany, zaczął róść w opinji publicznej jak na drożdżach, i wiedział o tem. Zobaczymy wkrótce, dokąd go to zaprowadziło.

Nazajutrz była niedziela. W Wilkowie, ile razy jest wieczorem u Lejzora szczupak nadziewany, na zimno, to na trzeci dzień potem bywa niedziela. Po południu, sekretarz poszedł na zgromadzenie wyborców, na którem dr. Ciemięga, jak już opowiedziałem, mówił o federacji, a Stanisław, wystrojony od święta, towarzyszył pani Magdalenie i pannie Natalii na festyn ogrodowy w parku. Nie wiem, czy zrobił to spostrzeżenie, że takie konwojowanie dam byłoby o wiele przyjemniejszem, gdyby książki traktujące o dobrym tonie i wrodzone każdemu niezupełnie dzikiemu człowiekowi uczucia przyzwoitości nie nakazywały zajmować się raczej mamą, niż córką. Dobrze jest mieć w takim razie wiernego i usłużnego druha, który bierze mamę na siebie — ale Stanisław nie miał go niestety. To zmniejszało znacznie rozkosz, jaka mu mogła przypaść w udziale. Jeszcze gorzej było, gdy usadowił swoje damy w altanie za stolikem z urnami, w których były losy. Z początku, pełno młodych gapiów, modnie przystrojonych, zbliżało się do tego stolika. Kupowali mało losów, ale smalili cholewki (w przenośni, w rzeczywistości byli bowiem w płytkich trzewikach i w ażurowych szkarpetkach) do panny Natalii. Szczególnie irytującym był jeden z nich, cienki jak knot u półgroszowej świeczki i nie więcej od niej wydający światła. Ten przez pół godziny nie odstępował panny Natalii i prawił jej takie rzeczy — nie znając jej prawie — na jakie Stanisław mimo długiej znajomości nigdyby

*) *Szpener*, w djalekcie wschodniomilicyjskim, tyle, co dorożka jednokonna P. A.

**) Po chaocku: «Wiem ja.»

*

się był nie ośmielił. Nakoniec pojawiły się w parku damy z wyższego towarzystwa, grandów i hidalgów, i cały ten rój wyperfumowanych młokosów pociągnął ku stolikom, gdzie one zasiadły — z tą różnicą, że u panny Natalii każdy kupował losów za jednego idealnika, a u tamtych pań za dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt, i więcej. Za innemi stołami siedziały gwiazdy sceny wilkowskiej, także otoczone tłumami wielbicieli, sypiących pieniądze. Pani Kokocka rozmawiała tak głośno i mizdrzyła się tak obrzydliwie, jak uchwaliły zgodnie pani Kluszczyńska i panna Natalia, że wstyd było patrzeć na to, a już co niektórzy panowie (było ich z dwiestu) upatrzyli znośnego w pannie Miauczyńskiej, to doprawdy trudno odgadnąć. Wszystko to małoby było obchodziło Stanisława, ale panna Natalia była w bardzo złym humorze i narzekała, że przyszła widocznie sprzedawać nie losy, ale pietruszkę. Nadaremnie Stanisław dostarczał co chwila lodów, cukrów, pomarańcz, orszady i limonady, nadaremnie nabył losów za wysoką jak na pedagoga wilkowskiego sumę dziesięciu idealników, nic nie zdołało zwiać chmur z ubóstwianego czoła. Nakoniec licho nadniosło z jednej strony Fuszerskiego, a z drugiej Bazgralskiego, którzy ze względów oszczędności nie kwapili się w sfery arystokratyczne, a ze względów niezmiernie niskiego swojego poziomu finansowego, źle byli widziani u pani Kokockiej i u panny Miauczyńskiej. Ci nie kupowali losów, ale dogryzali sobie nawzajem i obmawiali damy siedzące przy innych stolikach, a przytem, jako malarze, wynajdywali na wyścigi coraz to nowe wdzięki w pannie Natalii. Malarze są bardzo niebezpiecznymi współzawodnikami w tych czasach, w których strzelanie komplimentami *à brule - pourpoint* wyszło z mody i w ustach zwykłego śmiertelnika staje się śmiesznem, podczas gdy im jako z profesji znawcom piękności wszystko uchodzi i przyjmuje się z ich ust jako rzecz należącą do »*fachu*«. Sam więc festyn był dla Stanisława raczej torturą, niż przyjemnością, ale pod koniec, nieba zesłały mu wybawiciela w osobie pana Władysława Śmiechowskiego. Dobroczyńca ten wypłoszył najpierw obydwu komplimenciarzy, a to w ten sposób, że powinszował Fuszerskiemu jego portretu biskupa, znajdującego się na wystawie — co było okropną złośliwością, bo portret ten miał zamiar być konterfektem pani Majerowej, obywatelki wilkowskiej. Bazgralskiemu zaproponował zakład, kto więcej wygra fantów, kupiwszy losów za pięć idealników. Po tem skutecznem odparciu epigonów Apellesa, i gdy już miano opuszczać park, nieoceniony ten przyjaciel podał z gracją ramię pani Kluszczyńskiej i Stanisław bez wielkiej walki wewnętrznej ze swoją nieśmiałością, mógł odważyć się na prowadzenie panny Natalii.

Ach, jaki to był śliczny wieczór! Jak dobrze latarnie wilkowskie zastępowały blask księżyca, tego słońca zakochanych! Jak daleko było na przedmieście, i jak słodko opierała się na jego ramieniu, idąc pod górę. Jak długo, długo czuł potem ciepło jej ręki, i dreszcz, który go przeszedł, gdy spojrzała mu w oczy, dziękując mu za jego grzeczność.

Właściwy romans atoli nie posunął się ani na krok naprzód. Nie powtórzyłem rozmowy, jaką młoda para prowadziła z sobą po drodze, bo musiałbym chyba powtarzać tę, którą jużeśmy słyszeli raz w dworku. Ile razy nastąpił zwrot taki, w skutek którego wypadało Stanisławowi powiedzieć coś wyraźniej, tyle razy wahał się, a rozumieć go inaczej nie chciano i zawsze »ktoś nadszedł«. Na dobitek w powrocie do domu, potrzeba było wyspowiadać się przed Śmiechowskim i znieść różne satyryczne pociski z jego strony.

— Wiesz, że zrobię z ciebie stałą komiczną figurę w *Szturchańcu* — mówił on Stanisławowi.

»*Szturchaniec*« było to pisemko humorystyczne, wychodzące w Wilkowie, do którego pan Śmiechowski czasem dostarczał artykułów. Z pisemkiem tem i jego redakcją zrobimy wkrótce bliższą znajomość.

(C. d. n.)

SZKICE Z LITERATURY
MOSKIEWSKIEJ.

Początki moskiewskiej literatury za Piotra wielkiego. Piśmiennictwo urzędowe. Von Visin. Panowanie Mikołaja. Gribojedow. Czaodajew. Lermontow. Gogol. Słowianofile. Aleksander II. Liberalizm i dziennikarstwo.

Moskiewska literatura właściwie pojawia się w 18 wieku, to jest razem z reformami Piotra W. jak nowa Minerwa, uzbrojona w dyplom i mundur akademicki. Niemowlęcy perjod rozwoju postępowego nie istnieje. Moskiewskie piśmiennictwo zaczyna się satyrami Kantemira a kończy gorzkim śmiechem Gribojedowa, nielitościwą ironją Gogola i negacją bez granic najnowszej szkoły.

Jedynym poetą i wielkim artystą, którego dźwięczny spiew różni się od ogólnego nastroju pisarzy moskiewskich, jest Puszkin. On to rysuje smutną i nawskróś narodową postać Oniegina — człowieka niepotrzebnego.

Była wprawdzie do Piotra I. inna literatura w zawiązku, lecz ta nic nie ma wspólnego z cywilizowanem piśmiennictwem. Język, litery, nawet wyrazy były inne. Było to piśmiennictwo ludowe, biedne, w którem odezwały się pierwsze tony liryzmu ludowego, i nabożne rozmyślania sekciarzy, prześladowanych przez rząd. Spiewy te smutne, melancholijne, jak całe życie ludu moskiewskiego.

Ach dzięki ci, dzięki, ty mój siny dzbanie.
Żeś usunął smutek, przerwał me dumanie...

mówi pijany ludowy poeta.

Co się tyczy piśmiennictwa duchownego, było ono zawsze ponure, poważne, ascetyczne. Spiewy ludowe przez mamki i niańki lub przez niewolników przechowywane, przenikały niekiedy po za obręb tak zwanego świata cywilizowanego, który z podziwieniem słuchał przybysza przemawiającego nieznanym mu językiem.

Podziemne piśmiennictwo sekciarzy, ukrywało się w lasach, we wsiach oddalonych, gdzie łatwiej było ukryć się od podwójnego dozoru policji prawosławnej i kościoła policyjnego. Dopiero w ostatnich czasach zaczęto zbierać z ust włościan te spiewy i te melodje. Ale nie o tej literaturze, na którą rząd nie mógł rozciągnąć swego dozoru, chcemy tu mówić. Piśmiennictwo, którem się zajmiemy, nie należy do kwiatków polnych, lecz do egzotycznych, sprowadzonych wielkim kosztem do cieplarń carskich i wychowanych w koszarach gwardji carskiej, w kancelarjach biurokratów i w szkołach niemieckich kosmopolitów. Dla tego też piśmiennictwo moskiewskie nigdy nie wychodzi po za koło szlachty i urzędników, stanowiąc rodzaj służby, urzędu lub obowiązku.

Nie zadziwi to zapewnie Niemców, którzy mają „filozofję państwową“, że Moskale mają piśmiennictwo państwowe, postanowione przez rząd, dozorowane przez policję. Lecz co dziwniejsza, że wykształciwszy się kosztem rządu, jak tylko poczuło się cokolwiek na siłach, stanęło na nogi, przekształciło się i ze znakomitą niewdzięcznością w czasach Mikołaja, zmieniło się w głuchą opozycję, w ironję, w urąganie.

Ta sztuczna literatura, przyniesiona z Zachodu, zapuściła głębokie korzenie w roli kamienistej, twardej, pokrytej błotem, na której zaczęła się rozwijać chorobliwie, lecz bujnie, z satyrą na ustach, z pogardą w sercu dla całego otoczenia, jak rowijają się ulicznicy miast wielkich w zaułkach bez światła i powietrza, cherlający, nerwowi, wybladli, lecz posiadający zapas wielkiej siły i wczesnej dojrzałości. Piśmiennictwo moskiewskie zatrzymało się tam gdzie się kończy oficerstwo i gdzie zaczynają się prości śmiertelnicy, bo ci ostatni czytać nie umieli.

Bez podstawy narodowej, bez wewnętrznej potrzeby istnienia, bez wspomnień, zerwawszy z przeszłością, pogardzając wszystkiem co jest moskiewskie, z wyjątkiem siły brutalnej i sławy wojennej, pogardzając samo sobą, piśmiennictwo moskiewskie nosiło w łonie swojem następstwa swego nienaturalnego urodzenia. Rząd, oficerowie, właściciele, urzędnicy w ciągu sześciu pokoleń powtarzali rozkaz Piotra I: „Przestań“ być Moskalem, pogardzaj matką twoją, wstydź się ojca swego, zapomnij wszystkiego czego cię uczono czcić w domu rodzicielskim, a z chama jakim jesteś, zostaniesz cywilizowanym i Niemcem. (Dobrze zaś „cywilizowanego“ i dobrze „Niemca“, car wynagradzał). Staniesz się panem, będziesz sam posiadał włościan, będziesz mógł sam, gdy ci się zdarzy kupić twą matkę, jeżeli jest niewolnicą, lub sprzedać ojca, jeżeli nie jest swobodnym“. Taka była edukacja moskiewskiego ludu i nie myślcie, że to przesada. Syn chłopa, niewolnik, stawszy się żołnierzem przy odwadze i szczęściu, lub po wielu latach służby, mógł otrzymać rangę oficera, ożenić się z bogatą kobietą i kupić u swego byłego pana włość, gdzie mieszka jego rodzina. Syn-właściciel miał prawo sprzedać własność swoją-rodzonego ojca i ten nie mógł protestować bezkarnie. Wielu szanownych patrjarchów prowincji, którzy łączyli korzyść z przyjemnością, sprzedawali, po amerykańsku, własne dzieci nieprawe zrodzone z nieszczęśliwych niewolnic lub włościanek. Takie było, powtarzamy, wychowanie moskiewskiego ludu.

Nieszczęśliwe, śpiące, zgnębione społeczeństwo moskiewskie, które przy carach Romanowych stało się północnemi Chinami, raptownie zostało zbudzone wstrząśnieniem Piotra I. Apatja i letarg zmieniły się w gorączkową czynność. Lecz tylko wyższa warstwa była wciągnięta w ruch, który go oddzielił od reszty bezwładnej

masy. Wszelkie ludzkie stosunki między wierzchołkami a podstawą zerwały się i w czasie tego rozwodu utworzyło się piśmiennictwo, protegowane przez rząd jako gałęź służby publicznej. Piśmiennictwo moskiewskie miało tylko dwie drogi: rządową, bo rząd przedstawiał cywilizację i ironję lub sarkazm jedynie odpowiednie dla ludzi postawionych wśród dwóch światów śmiesznych, wśród przebudowań, wśród prawdziwej maskarady, gdzie spotykały się kontrasty uderzające, gdzie jeden nie znał drugiego i gdzie śmieszność ciągle stała obok okropności i dzikości.

Pochwalna oda Dzierżawina do nieba, podnosząca wszeteczną carycę Katarzynę II nie stała się ludową nawet w Petersburgu. Pierwsze literackie powodzenie przypadło w udziale von Vizinowi, człowiekowi wykształconemu encyklopedycznie, należącemu do wyższego towarzystwa i zostającemu długo przy moskiewskiej ambasadzie w Paryżu. Pisarz ten nie mógł powściągnąć się od satyry, w obec społeczeństwa na wpół barbarzyńskiego a mającego maniery cywilizowanego świata. Jego „Brygadjer“ i „Niedorostek“ przedstawiające całą śmieszność, całą brzydotę życia moskiewskiego, przekształconego przez Piotra I., miały szalone powodzenie. Von-Vizin stał się ojcem szyderczej literatury, która wywołała następnie wpływ ogromny na rozwój moskiewskiego społeczeństwa.

Jak tylko obudziło się życie, człowiek z oburzeniem rozpatrzył się w swojem otoczeniu:— żadnej swobody, żadnego bezpieczeństwa osobistego, żadnego związku z ludem. Radiszczew próbował protestować, skarżyć się, podnieść głos w sprawie nieszczęsnych niewolników — Katarzyna II. posłała go na Sybir, mówiąc, iż jest niebezpieczniejszy od Pugaczewa, który tylko co nie zrzucił jej z tronu. Śmiać się było bezpieczniej i krzyk wściekłości włożył na siebie maskę śmiechu. Nie ma zapewnie piśmiennictwa na świecie, któreby odważyło się zajść tak daleko w śmiechu. Nawet ironja Bajrona i gorzki śmiech Dickensa mają granice. Ironja moskiewska jest nielitościwa, niczem niepowstrzymana, nie lęka się odkryć niczego, bo nie ma dla niej nic świętego, ani przeszłości, ani teraźniejszości. Społeczność moskiewska nie ma żadnej tradycji świetnej i szanownej!

W ciągu prawie sześćdziesięciu lat po Von-Vizinie piśmiennictwo moskiewskie nosi na sobie tę cechę. Komedja Grybojedowa „Biada z rozumem“ (Gore ot uma) zamyka epokę nadziei, bo nastąpiło panowanie Mikołaja, tego strasznego feldfebla duszącego każdą myśl, każde słowo wolniejsze. W komedji Gribojedowa występuje jak zwykle okropna próżnia wyższego moskiewskiego towarzystwa. Śmiech jest już mniej wesoły; moskiewski wielki świat zaczyna coraz dokładniej naśladować Paryż, chociaż zdaleka cuchnie od niego surową skórą i dziegciem. Są to zwykle dymisjonowani dygnitarze, na których gwiazdy i ordery, źle zakrywają przepaść nieudolności, ciemnoty, zarozumiałości, służalstwa, arogancji i podłości, około których kręcą się intryganci, i darmozjady, prowadzący życie etykietalne, pełne formalizmu i pozbawione treści. Wśród tych osób pojawia się figura bohatera, pełna ironji, pełna niezadowolenia, uosobniająca w sobie głównych przywodzców grudniowego powstania w Petersburgu. Lecz za tym ruchem u góry, nie było ruchu u dołu i zwyciężeni złożyli głowy swoje u stóp Mikołaja. Za panowania tego strasznego despoty, na wszystkich co żyć chcieli, padł niepokój rozpaczy i ciężki stan utraty wszelkiej nadziei. Puszkin narysował człowieka tego czasu w sobie Oniegina, który nieustannie nudzi się i czuje swą nieużyteczność. Bohater jego jest to człowiek skazany na lenistwo, niepotrzebny, zbity z drogi, obcy w rodzinie, obcy w kraju, nie chcący robić źle a nie umiejący robić dobrze. Oniegin jest to Moskal czasów Mikołaja, człowiek jakich wiele spotkać można było w tym kraju. We wszystkich poematach, we wszystkich powieściach, które stały się choć cokolwiek głośnemi, wszędzie występuje podobna osobistość, nie dla tego, ażeby autorowie jeden z drugiego kopjowali, lecz z powodu, iż postacie takie spotkać było można na każdym kroku. Panowanie Mikołaja ciężyło nad całym społeczeństwem, lecz nikt się nie śmiał odezwać pod berłem tego nowoczesnego Dżengischana.

Pierwszem słowem poważnem było słowo znakomitego Czaadajewa, który w listach swych wypowiedział, że Moskwa nigdy nie istniała po ludzku, że przedstawia negację rozumu i straszny przykład dla Europy, że przeszłość jej była nadaremną, teraźniejszość niepotrzebną, a przyszłość dla niej nie istnieje. Listy te można było nazwać testamentem człowieka, który abdykuje z praw swoich nie przez miłość ale przez wzgardę dla spadkobierców. Analizując stan kraju, rozpatrując położenie jego społeczne, odwracał się starzec przeklinając przeszłość jego i przyszłość. Mikołaj posłał na Sybir wydawcę listów, Dostojewskiego, a Czaadajewa rozkazał uważać jako obłąkanego i co tydzień posyłał do niego doktora, który miał obowiązek badać stan umysłu tego mniemanego chorego i donosić o tem carowi. Ta nieludzka komedja ciągnęła się aż do śmierci Czaadajewa.

Obok starca rzucającego przekleństwo, młody poeta Lermontów spiewa:

«Ze smutkiem patrzę na nasze pokolenie,
Bo jego przyszłość czcza i posępna,
Zestarzeje się ono w bezczynności
I ugnie się pod ciężarem zwątpienia i bezowocnej nauki.
Życie nas męczy jak długa podróż bez celu,
Jesteśmy jak przedwczesne owoce, które opadają nim dojrzeją,
Zbliżamy się do mogiły bez szczęścia i sławy,
Rzucając przed zgonem wzrok gorzkiej pogardy na prze-
[szłość naszą.
My nic nie zostawimy naszym potomkom;
Ani myśli płodnej w następstwa ani pracy genjalnej,
I przeklną oni nasze prochy jak przeklina
Syn ojca, który zmarnował rodowy majątek.»

Żeby dać pojęcie o ludziach tego czasu, powiemy, że Lermontów był tak przyzwyczajony do rozpaczy, do antagonizmu, iż nie tylko nie chciał pozbyć się ich, lecz nie pojmował nawet możliwości walki, lub pogodzenia się z niemi. Poeta żył śmiejąc się z życia i zginął w pojedynku za bagatelę. Raz zapytany przez jedną damę, jak on, człowiek w nic nie wierzący był w stanie napisać tak wzniośle piękną modlitwę, która tylko co pojawiła się w druku, odrzekł: „Pani, do tego ani wiary ani serca nie potrzeba, a tylko nieco rozumu w głowie i kieliszek wina w żołądku. Jeżeli pani sobie życzysz, natychmiast napiszę jeszcze piękniejszą, chociaż w piersiach mych wre piekło. I usiadłszy napisał drugą modlitwę znakomitej piękności.

W tym samym czasie, w tem ciemnem państwie istniał wielki malarz Brułow. W jakich on sferach szukał natchnienia? — Oto w ostatnim dniu Pompei, gdzie ludzie giną wśród trzęsienia ziemi, wśród wyziewów wulkanicznych, strasznego kataklizmu, padają pod ciosami siły dzikiej, ślepej i niesprawiedliwej. Takie tylko natchnienie zaczerpnąć można było w petersburskiej atmosferze.

W rok po śmierci Lermontowa pojawiły się „Martwe Dusze“ Gogola, obrazy patologiczne wzięte z natury i zupełnie oryginalne. Gogol nie dotykał rządu ani klas wyższych; rzuciwszy stolicę, przedstawia wieś, pola, miasteczka, właściciela wrosłego do ziemi, urzędnika przyklejonego do kałamarza, leśnika jak wilk przywykłego do szumu borów, ich dziwne gusta, a jeszcze dziwniejsze i nie znane nikomu życie. Pisma Gogola i śmiech jego są krzykiem przerażenia człowieka, który chce się obudzić, chce dać znak życia pierwiej nim go pogrzebią żywcem w tym świecie obłąkanych.

Była w tym czasie inna klasa ludzi w Rosji, co nie widząc żadnej przyszłości w życiu, do którego rząd pchnął lud cały, powiedziała sobie: „Rosja drogę straciła, należy wrócić nazad, żeby wyjść z matni, w którą ją wtrącił rząd cywilizatorski Piotra I.“ Pojawili się tak zwani Słowianofile, którzy przyszłą wielkość widzieli w przeszłości i na niej budowali gmach, przeklinając cywilizację zachodu i podnosząc jako chorągiew — zgniłe i zbutwiałe chałaty mongolskich ojców swoich.

Utworzyły się dwie szkoły, a walka ich zajmuje rozwój myśli świata moskiewskiego aż do 1848 roku. Obok dwóch tych partyj krańcowych wystąpiła jeszcze trzecia, niezależnych, nie pojmująca ani religji rozpaczy, ani religji nadziei. Ta grupa ludzi, uczonych i literatów, nic nie przyjmowała na wiarę, a wszędzie starała się zgłębić kwestję, aż do dna. Z tej grupy wyszli najwięksi pisarze Moskwy: Granowski, Bieliński, Czernyszewski, Turgieniew, Nekrasów, Hercen i Ogarów. Trzy te partje mocno się różniąc w poglądach, schodziły się w jednem, w potępianiu carskiego rządu w postaci w jakiej stanął za Mikołaja.

Całe piśmiennictwo za czasów Mikołaja było piśmiennictwem opozycyjnem, ciągłą protestacją przeciwko gnębieniu wszystkiego co było ludzkiem. Opozycja ta, jak Proteusz, przyjmowała różne formy, różne objawy. Zgnieciona w dziennikarstwie, występowała na uniwersytetach; prześladowana w policji, występowała w kursie nauk przyrodniczych. Opozycja ta objawiała się samem milczeniem i umiała przenikać przez drzwi i mury nawet pensjonów, kadeckich korpusów i seminarjów.

W chwili wybuchu lutowej rewolucji we Francji, Mikołaj postanowił zdusić wszelki ruch umysłowy, który objawił się w państwie jego i zaczął jawną nielitościwą wojnę przeciwko wszelkiej myśli, wszelkiemu swobodnemu słowu i wszelkiej nauce. Kilku młodych nieostrożnych ludzi ośmieliło się w 1849 roku, zbierać się, żeby pomówić o socjaliźmie, o ekonomji politycznej. Skazano ich na rozstrzelanie, przeczytano im wyrok na placu publicznym, zawiązano oczy i dawszy im poznać okropność agonji, ułaskawiono ich na katorżne roboty, na całe życie!

Nastąpiła cisza zupełna. Rząd wprowadziwszy porządek, zamknąwszy usta wszystkim, nie spotkał już w niczem oporu, a jednak z dnia na dzień stawał się podejrzliwszym i lękliwszym. Mikołaj nie unikał krymskiej wojny, bo rad był, nie zdając sobie nawet rachunku z tego,

wprowadzić ruch jakiś w to życie milczące i ponure, które go zaczęło straszyć rezygnacją bez przekonania i ślepem posłuszeństwem. Mikołaj był przekonany, że wojna nie obudzi zachcianek swobody, a oprócz tego... był pewny zwycięstwa! Bo czyż dawno jeszcze przedtem jenerał austrjacki prosił jednego z jego jenerałów o zbawienie tronu? Czy dawno Paskiewicz pisał: Węgry u nóg Waszej carskiej mości!

Po całym rzędzie bitew przegranych, Mikołaj poczuł całą słabość organizacji, dla której wszystko poświęcił i przerwał dni swoje trucizną. Katon despotyzmu nie chciał przeżyć tego porządku rzeczy, nad którym pracował lat trzydzieści, i który upadł przy pierwszym strzale armatnim. Następca jego pospieszył zawrzeć pokój ze sprzymierzonymi i dać nieco swobody na wewnątrz, to jest zmniejszyć prześladowania.

Wtedy to wszystko, co było zagrzebane na dnie duszy znalazło sposobność do protestacji, do wypowiedzenia myśli. Literatura denuncjatorska, literatura patologicznych opisów, była pierwszym owocem tego gwałtownego oswobodzenia słowa.

Rząd sam wydał na pożarcie niższe klasy biurokracji, nie pozwalając dotykać wyższych szczeblów. Chociaż nie wiele było korzyści z czyszczenia z dołu, gdy wierzch był tak brudny, przecież wszyscy byli uszczęśliwieni, mogąc odkryć nieporządki, ucisk i straszne nadużycia, tak naturalne w ciężkim zarządzie nieuczciwego biurokratyzmu azjatyckiego i niemieckiego, patrjarchalnego i wojskowego zarazem.

Ponieważ rząd przyjmował w tem udział i mówił o konieczności reform, o duchu czasu, o potrzebach nowej epoki, — liberalizm stał się modą. Jenerałowie, którzy niczego tak się nie lękali jak słowa „swoboda“, którzy nie znali słowa „równość“ i na każdym przeglądzie siekli żołnierzy rózgami i pałkami, zaczęli spostrzegać, że w gruncie rzeczy są oni liberałami, że lubią porządek, że są nawet zbyt liberalni. Nie było ani jednego naczelnika nowego, który obejmując pełnienie obowiązków swoich, nie mówiłby o „postępowych zasadach“ i któryby nie wspominał, że Moskwa wstąpiła w erę reform i ulepszeń. Kurator moskiewskiego uniwersytetu wymawiał jednemu profesorowi, że na jakiemś zebraniu oficjalnem powiedział mówkę „nie dość liberalną“. Nie dawało się żadnego obiadu bez toastów i mów postępowych. Gołowin, minister oświaty, objawił zdanie, iż potrzeba ustanowić dekorację ad hoc — dla wynagrodzenia „niezawisłości“ urzędników.

O ile szerzył się liberalizm, o tyle tracił na doniosłości, głębokości i powadze. Mniejszość, co milczała za Mikołaja, zwróciła na to uwagę i wymagać zaczęła nie słów, ale czynu. Słabi natychmiast odstrychnęli się od nich, bo gra była niebezpieczna. Dwa lub trzy słowa były dostateczne dla tych co pozostali, żeby się poznać wzajemnie. Nienawidzili siebie, a nienawiść jest siłą. Rząd pozwalał mówić. Lud nie przyjmował udziału i stał ciągle na uboczu. Nieszczęśliwe ukończenie wojny podało mu myśl wyswobodzenia się od poddaństwa, powstając masami dla obrony kraju. Na Ukrainie chłopi powstali i rząd uspokoił ich kulami i Sybirem. Było jasnem, że jedyna popularna kwestja, mogąca lud rozbudzić z uśpienia, była emancypacja jego. Pierwsza szlachta kowieńskiej gubernii podała swój projekt uwłaszczenia włościan.

Szlachta guberni moskiewskich, zamiast coby miała przystąpieniem jaknajprędszem nabrać siły i znaczenia, stanęła w upartej i nieudolnej opozycji. Wtedy to lud zaczął spodziewać się zbawienia swego od cara, z wiarą naiwną powstając przeciw szlachcie. Car znowu odpowiedział kulami i bagnetami; lecz chłop padał zachowując wiarę w cara i przeklinając szlachtę! Rząd, który dotychczas z największą pogardą patrzał na lud, zaczął oceniać siłę, którą mu ten lud dawał, i opierając się na niej, postanowił wzmocnić swe samowładztwo, nadwerężone nieco po śmierci Mikołaja.

Dopóki trwała walka rządu z szlachtą, dzienniki wszystkich odcieni podtrzymywały rząd w zamiarach jego oswobodzenia włościan. Był to szczególny perjod, lecz zgoda nie trwała długo. Zaledwo akt emancypacji był podpisany, jedna część pisarzy stanęła w opozycji i zaczęła walkę z piśmiennictwem rządowem, walkę nierówną, której ciężar powinien był spaść na partję radykalną.

Zachowanie się moskiewskiej młodzieży względem Polski, która zaczęła swoją protestacją modlitwą i żałobą i pojawienie się w Petersburgu całej serji proklamacji tajemnie drukowanych, rozjątrzyły walkę.

Gdy pierwsze ofiary padły w Warszawie, objawiła się w Rosji rzecz niesłychana; studenci, profesorowie i oficerowie gwardji carskiej zamówili mszę za dusze pomordowanych Polaków i w Petersburgu śpiewali „Boże coś Polskę“. Toż samo powtórzyło się w Moskwie, Kijowie i w pułkach konsystujących w Polsce. Rząd, nieprzywykły do tego rodzaju demonstracji, był przerażony, lecz co go jeszcze więcej przestraszyło, to wiadomość, że studenci kazańskiego uniwersytetu zebrali się na nabożeństwo żałobne za duszę włościanina Antonowa, rozstrzelanego na rozkaz Apraksina, wskutek bezbronnego powstania ludu, uśmierzonego z dziką srogością. Profesor Szczapów miał mowę nad grobem męczennika. Tego już rząd ścierpieć nie mógł. Zaczęły się prześladowania. Oficerowie, którzy asystowali na żałobnem nabożeństwie po zamordowanych w Warszawie, byli oddani pod sąd wojenny. Szczapów został aresztowany i rzucony do więzienia tajnej carskiej kancelarji.

Polityczne procesa zaczęły się. Michajłow, poeta, za odezwę do młodego pokolenia, odezwę, która nie miała żadnych skutków i zaszkodziła więcej niewielkiej liberalnej partji, niżeli rządowi, zotał zesłany do kopalń na lat siedm i wkrótce umarł w ciężkich robotach. Po nim aresztowano wojskowych, sztabskapitana Obruczewa i porucznika Grigorjewa. W r. 1862 rząd moskiewski kazał sądzić oficerów Arnolda, Śliwińskiego, Kaplickiego i podoficera Rostkowskiego za szerzenie między oficerami i żołnierzami niezadowolenia i za sprzyjanie sprawie polskiej. Wszyscy ci młodzi ludzie zostali rozstrzelani, a żołnierz Szczur za to, że nie denuncjonował swoich oficerów, przeszedł przez pałki.

Car Aleksander nie lubi podpisywać wyroków śmierci, i jak Piłat umywa ręce, zostawiając ten okropny obowiązek jenerałom swoim. Wyrok na biednych oficerów podpisał jenerał Lüders, pomimo najsolenniejszego przyrzeczenia, że nie ukarze ich śmiercią. W kilka dni potem, jeden z oficerów pułku, w którym służyli zabici, w ogrodzie publicznym kulą roztrzaskał mu szczękę.

W październiku tegoż roku, pułkownik Krassowski, ranny pod Sebastopolem, udekorowany i zasłużony, został przyprowadzony na plac publiczny w Kijowie. Tam zerwano z niego szlify i dekoracje, włożono nań ubiór katorżnika, okuto nogi w łańcuchy i powleczono na Sybir do katorżnych robót na lat dwanaście. Występkiem jego była prośba do żołnierzy, aby nie strzelali do włościan.

Rząd zdetonowany nie wiedział jak postępować, nie wiedział jak bez ustępstw zachować reputacją liberalizmu. I rzeczywiście położenie było trudne. Mikołaj był szczęśliwszy w prostocie despotyzmu swego.

Prześladowania uczniów w Petersburgu i Moskwie nie udały się. Były one zbyt źle urządzone i pełnione z niezmierną gburowatością. Car sam obaczył omyłkę, oddalił admirała Putiatina z ministerstwa oświaty, a jenerała Ignatiewa z petersburskiego jenerał-gubernatorstwa, i wziął się do nowej cywilizowanej metody.

Ta nowa metoda, która miała skutek zupełny i pod wpływem której Moskwa zostaje do dziś dnia, była wymyślona przez nowego ministra oświaty Gołownina, z partji w. k. Konstantego, i przez ministra spraw wewnętrznych, Wałujewa. Wtedy gdy już muzyka była gotowa i gdy oczekiwano tylko znaku dyrektora kapeli, zaszedł wypadek, który zwykle zachodzi gdy tego chcą ci, co mają siłę w ręku. Był to pożar Petersburga.

Gołownin, admirator niezawisłości urzędników, wstąpiwszy do ministerjum, zarządził tak, że ciągle mówiąc o swobodzie dziennikarskiej, w *przyszłości* obostrzył cenzurę do najwyższego stopnia. Niby słuchając dziennikarzy, dawał im takie rady, że ton dzienników zaczął się zmieniać widocznie. Taż sama metoda była użyta i w sprawach ministerstwa. Po wypowiedzeniu w organach publicznych konieczności reform w liberalnym kierunku, jakie należało wprowadzić w uniwersytetach, rozpisano ustawę, która studentom odbierała wszelką niezależność. Jednak najważniejszą zasługą ministra było to, że ustawę wypracowało nie ministerstwo, ale konferencja profesorów, którym Gołownin poruczył tę sprawę.

To co Gołownin robił w ministerstwie oświaty, Wałujew, dworzanin, elegancik, robił w ministerstwie spraw wewnętrznych, tylko z większą otwartością, to jest używając mniej ostrożności. Prawda, że administracja ministerstwa była zwinniejsza, bo nie składała się ze starych profesorów i młodych uczonych, lecz z wysłużonych urzędników policji i młodych entuzjastów idei — zrobienia świetnej karjery. Wałujew pełnił swój obowiązek kierowania opinją publiczną z pewnym humorem. Wiedziano naprzykład, że dziennikarz Krajewski był zadłużony po uszy, że grał w karty, że miał dobre pióro i że był liberałem, lecz liberalizm jego był młodej daty. Obowiązek rozkazywał ministrowi wesprzeć utalentowanego człowieka. Otrzymał więc zapomogę, Z wdzięczności dziennikarz napisał słów kilka na pochwałę wewnętrznych cnot rządu — i tracił w dwójnasób. Nagle wsparcie ustało... i reputacja także, bo rzecz godna podziwienia, wszyscy jakoś dowiedzieli się, że redaktor otrzymuje wsparcie od rządu. Rok się skończył... abonentów nie było. (Dopiero od roku 1863 publiczność moskiewska z sympatją zaczęła czytać dzienniki przez rząd wspierane,) Krajewski przestraszony udaje się do ministra z prośbą o ratunek. Minister powiada, że to bardzo trudno. Wreszcie

można oddać dziennikowi ogłoszenia wojennego ministerstwa. Lecz tu nowa trudność. Minister wojny nie jest tak liberalny jak Wałujew. Dziwnym wypadkiem i redaktor czuł się codziennie mniej liberalnym. Otrzymał więc prawo anonsów i stanął w rzędzie dziennikarzy rządowych.

Ponieważ ilość dzienników w Moskwie jest niewielka, dzięki więc metodzie wsparć i doktrynom ministra oświaty, sprawy szły dobrze; prawiono dysertacje u Gołownina, śmiano się z Wałujewa, a dziennikarstwo z dnia na dzień stawało się konserwatywniejszem.

Tu musimy opowiedzieć jeden bardzo charakterystyczny wypadek, rzucający światło na przeszłość i przyszłość liberalnej Moskwy. Mikołaj Czernyszewski, jeden z najliberalniejszych pisarzy i najzdolniejszych ludzi, był wezwany do ministra spraw wewnętrznych, który mu ofiarował ośm tysięcy rubli, jeżeli w piśmie „Sowremiennik“ będzie popierał rządowe rozporządzenia. Opowiadając mi o tem, dodał:

— Ja mu odmówiłem.

— Zrobiłeś pan bardzo uczciwie — zauważałem.

— Mój panie — odpowiedział — znam pana jako rozsądnego człowieka, a zatem nie będę ukrywał myśli moich. Pan widzisz, jaki jest stan społeczności naszej i jakie spodlenie nas otacza. Praca moja jest bezużyteczna, a naraża mnie i moją rodzinę na niebezpieczeństwo prześladowania rządowego. Uważam za największe głupstwo być męczennikiem przekonań, tem więcej, że nie ma prawd absolutnych na świecie. Przyznam się więc, że nie zgodziłem się na propozycję Wałujewa dlatego tylko, że mi ofiarował mało, bo ja za pracę moją otrzymuję do dziewięciu tysięcy rubli srebrem na rok. Lecz gdyby mi był zaproponował pięćdziesiąt tysięcy, to zgodziłbym się i pan byś zobaczył, że nie z mniejszym talentem broniłbym interesów rządowych. Dziś pozostałem w obozie opozycji, lecz za przyszłość nie ręczę...

Tacy to byli najzdolniejsi ludzie przewodniczący partji postępowej, dlatego też nie uwierzę, żeby najżarliwszy radykał za pieniądze lub krzyżyk nie stał się najpowolniejszem narzędziem w rękach rządu...

Pożar Petersburga dodał nowych sił rządowi.

Jenerał Potapów, szef tajnej policji, mówił do pewnej osoby w tym czasie: „Dziś nie chodzi o podtrzymanie lub obalenie jakiej instytucji, lecz o połączenie się z rządem w interesie cywilizacji, która jest w niebezpieczeństwie.“

Każdy kto wyrażał opinię niezawisłą i kto na swe nieszczęście nie mówił tak jak rząd wymagał, był natychmiast oskarżony, jeżeli nie o podpalenie Petersburga, to o sympatje dla podpalaczy. Potapów zacierał ręce. Połowę pracy tajnej policji wzięło na siebie dziennikarstwo. Gorliwość dzienników przechodziła wszelką miarę. Wymagano od rządu wyjątkowej, nadzwyczajnej srogości. Organ Krajewskiego „Gołos“ tak pisał w tym czasie: „Wszyscy oczekujemy, że policja odkryje tych zbrodniarzy, że imiona ich zostaną ogłoszone, że dowiemy się kogo mamy się obawiać. Wszyscy domagają się ich ukarania. Lud chciałby tym niegodziwcom wyznaczyć karę, która nie istnieje w prawie, bo sądzi, że rozstrzelanie lub powieszenie jest zbyt małą karą, zbyt szlachetną dla tych barbarzyńców. Jeżeli wpadną w ręce ludu, to ich spali na stosach, żywcem zakopie w tej ziemi, w tych murach, które się przedstawiają oczom naszym jako pomniki złoczyństwa i obłąkania tych ludzi. W każdym razie lud liczy na to, że będą szubienice, że będą rozstrzelania: lud łaknie zemsty.“

„Mosk. wiedomosti“ Katkowa pisały w tym czasie: „Najwięcej winni nie podpalacze, nie ci co podkładają żagiew, lecz ludzie, co głoszą podżegawcze doktryny.“

Jeden z duchownych dzienników, redagowany w duchu prawosławnego jezuityzmu, poszedł jeszcze dalej: „Gdy szukają złodzieja, mówiło to pismo, publikują jego rysopis. Dziś szukają podpalaczy; jakże ich poznać? — Podpalacz, jest to człowiek, który w Boga nie wierzy, który nie ma religji, który nie szanuje władz ustanowionych, który rozszerza zasady rewolucyjne zachodu itd-“

Rezultat takiego pięknego nastroju literatury był bardzo korzystny dla rządu; gdy zaszły nieporządki w uniwersytecie moskiewskim, rząd mógł je stłumić z bezwzględnością najsurowszą, bo lud zaczął uważać studentów za podpalaczy. Jeden dziennik ośmielił się podnieść głos w obronie studentów, i dziennik ten był natychmiast zawieszony. Nie zadowalając się tem, rząd aresztował redaktora tego dziennika, Czernyszewskiego, i wrzucił go do zgniłego więzienia w petersburskiej cytadeli. Wkrótce wtrącono do fortecy Sierno - Sołowjewicza i jeszcze kilku ludzi, podejrzywając ich, że konspirują przeciwko rządowi. Zwykle komisje śledcze, które prowadzą procesa podobnego rodzaju, przedstawiają, dla zachowania decorum, sprawę całą senatowi wraz ze zdaniem swojem. Senat znowu, usiłując wykazać swe namiętne przywiązanie do tronu, nie żałuje nigdy nieprzyjaciół rządu. Senatorowie więc zwykle dodają kilka lat katorżnych robot, lub innym sposobem powiększają karę, i sprawa skończona. Czernyszewski i Sierno-Sołowjewicz zostali skazani na siedm lat katorżnych robot i na wieczne osiedlenie na Syberji. Czernyszewski po dwuletniem więzieniu zmienił się okropnie, blada twarz jego opuchła; dostał skorbutu. Kazano mu uklęknąć przy słupie pod pręgierzem, złamano szablę nad głową i trzymano go na klęczkach przez pół godziny. Panna jedna rzuciła bukiet do powozu, w którym go wieziono — natychmiast ją aresztowano. Stary przyjaciel krzyknął z daleka: „adieu!“ — i jego aresztowano!

Po pozbyciu się największych przeciwników, nastraszywszy innych słabego serca, rząd mógł śmiało iść, gdzie mu się podobało. Syn Mikołaja stanął znowu na ojcowskiej okrwawionej drodze. (D. n.)

KLEMENS BORUTA

przez

W. OKOŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

O ile Janowa z natury była chciwa, a z biedy na wszystko łakoma, o tyle zawojowany przez nią mąż chętnie z każdym się dzielił. Bez trudu więc tegoż jeszcze dnia pomógł synowcowi przeprowadzić prosiaki do sieni. Klemens nie mając garści słomy, a przytem chcąc zagłuszyć smutek, jaki mu się co chwila w duszy odzywał, zgodnie z pierwotnym zamiarem poszedł do karczmy, gdzie ucieszywszy się tańcem i bawarem, przenocował. Nazajutrz od świtu zaczął porządkować mieszkanie. Wymiótł je, oczyścił z kurzu, pozaklejał wybite okna i myślał nad tem jedynie, jakby je wywietrzyć z woni poprzednich mieszkańców, gdy wtem wybawiła go z kłopotu niespodziewana okoliczność: dostał wezwanie od sądu w sprawie Kleina.

— Pootwieram okna — mówił do siebie — jeśli wsadzą do kozy, mieszkanie przez ten czas wywietrzeje.

Jakoż nietyle może skutkiem zabiegów Kleina i zeznań Brzosta, ile skutkiem życzliwości, sąd odgadując zapewnie złe powietrze w mieszkaniu Boruty, ofiarował mu na dwa tygodnie kozę.

Brzost nietylko wyrzekał się »kropli«, które sobie u Klemensa zamówił, ale nawet widocznie go unikał. Jako bowiem jedyny świadek powalenia Kleina, zeznaniem swojem na jego korzyść w sądzie, głównie się przyczynił do osadzenia Boruty w kozie. Ile w tem zeznaniu było prawdomówności, a ile chęci utrzymania się na zajmowanem stanowisku, domyślać się nie będziemy. Tylko dla zadowolenia ciekawych zrobimy przypuszczenie, że samolubstwo, które nie jest wstrętnem dla nikogo, nie mogło być takiem dla Brzosta, i że zapytywany w sądzie o szczegóły wypadku, myślał naprzód o sobie a potem o przyjacielu.

Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, że Boruta uczuł do owczarza jakąś niechęć. Bynajmniej. Karę swoją uważał za bardzo naturalną, do pewnego stopnia sprawiedliwą, a nawet przyjemną. Zmęczony natłokiem wrażeń i zaniepokojony brakiem miejsca, potrzebował w spokoju uporządkować myśli i usnuć z nich jakiś plan życia.

Gdy powrócił do izby, zaledwie po długiem rewidowaniu nosem odczuł ślady woni poprzednich jej mieszkańców. Przyznać trzeba, że było to równie zasługą wrześniowego powietrza, jak Kasi, która niezależnie od dąsań matki krewniakowi podłogę, a raczej jej ostatki wymyła. Co więcej, znalazł Boruta i okna deseczkami pozabijane i garść słomy w kącie, przykrytą starym, kiedyś niebieskim kilimkiem. Stryja w domu nie było, stryjenka nie obiecywała serdecznego przyjęcia, Klemens więc tylko rozejrzał się po izbie i już miał wyjść, gdy przez drzwi odchylone zajrzała Kasia.

— Wleźże głupia — zawołał wesoło — bo nos sobie przytniesz. Tatulo u roboty?

— Przy szosie — odrzekła nieśmiało, stanąwszy w progu.

— Cóż trzęsie cię jeszcze?

— Dziś nie.

Boruta wyciągnął z kieszeni bułkę i kawałek kiełbasy, które sobie po wyjściu kupił i podał Kasi.

— Na, jedz.

Kasia zrobiła z początku zawstydzoną minę, ale wreszcie skusiła się do łakoci. Klemens z zadowoleniem spoglądał na jej rumieńce, tembardziej, że one rozpaliły się na dosyć ładnej twarzy. Nie była to twarz artystycznie kształtna, nie zawierała tych

pociągłych rysów, które są cechą poprawnej ludzkiej rasy i tej delikatności, która jest wynikiem troskliwej hodowli, lecz tworzyła okrągłe, właściwe ludowym urodom jabłko, na którem nos filuternie się zadzierał, a oczy żywo biegały. Potrzeba było tylko Kasię nieco wyleczyć, odpaść i ubrać, żeby rój parobczaków koło niej się uwijał, a panicze za najlepszą żniwiarkę uważali. Boruta był znawcą i dlatego krewniaczkę poczęstował.

— Tańcowałaś w niedzielę? — spytał.

— Boga tam! Na przespanie nocy mało.

— Ale tyś nie od tego... — mruknął Klemens i objął dziewczynę, która tylko głowę odwróciła.

— Katarzyna! odezwał — się skrzeczący głos z sieni.

Wybiegła.

— Prosiaki kwiczą — krzyczała matka — a ty zęby suszysz przed chłopem. Ja ci je porachuję.

Jak tylko groźby ucichły, Boruta wyszedł z domu; dokąd — ściśle nie wiedział. Rozejrzał się po niebie, popatrzył w jednym i drugim kierunku drogi, uciął sobie pręt z wierzbiny i ruszył pogwizdując w pole. Oczekiwał on stryja, z którym chciał się rozmówić co do możliwości dostania roboty; ale że słońce było jeszcze wysoko, więc szukał dla reszty dnia jakiejś rozrywki. Odnajdę Brzosta — myślał sobie — i pogadam może...

Na tą samę miedzę, po której szedł Boruta, wyjechał z za krzaków jakiś mężczyzna na wielkim, ciężkim trakenie.

— Rządca, czy nie rządca, a jużci on — szepnął Klemens, uczuwszy lekkie drżenie w nogach.

Klein poznał go z daleka, podciął konia i zbliżywszy się, osadził gwałtownie.

— Co tu robisz? — zawołał po niemiecku.

— Idę — odrzekł Boruta.

— Przez czyje pole?

— Przez szląskie.

— Ty zbuju! — krzyknął Klein, zamierzywszy się szpicrutą.

Klemens chwycił konia za uzdę.

— Ostrożnie, bo ściągnę i umiarkuję.

Rządca wiedział, że Boruta dotkliwie miarkuje nawet gdy nie grozi, a cóż dopiero, gdy grozi. Rzekł więc spokojniej i po polsku:

— Proszę *zurück*, tu chodzić nie wolno.

— Święta ziemia, bo Niemiec ją kupił! —bąknął Boruta i wrócił do drogi, idąc przed Kleinem, który za nim postępował na koniu, a później gościńcem pędził do dworu.

O odszukaniu Brzosta, po tem świeżem starciu, nie można było myśleć. Owczarz bowiem pasł niezawodnie na polach dworskich, a rządca po nich chodzić zabronił. Usiadł więc Boruta na kamieniu, wziął kawałek leżącego kija i zaczął strugać wiatraczek. Przechodzący i przejeżdżający ze zdumieniem spoglądali na młodego, zdrowego chłopa, który w porze roboczej zabawiał się dziecinnemi figlami. Klemens tymczasem strugał starannie deszczułki, aż wreszcie osadził je w krzyż złożone na patyku i zatknął na górce w ziemię. Wiatr poruszył skrzydłami wiatraczka i puścił je w szybki ruch. Klemens z zadowoleniem stanął przed swojem dziełem i przypatrywał mu się długo uśmiechnięty.

— Pochwalony! — rzekła jakaś stara. przechodząca wieśniaczka. — Dużoście umelli?

Boruta zawstydzony, nic nie odpowiedział, a gdy kobieta oddaliła się, poszedł wolnym krokiem do wsi. Słońce już się zniżało ku ziemi. Czerwony jego odblask złocił dachy i drzewa, jak gdyby przyświecał jeszcze nad obowiązek niedokończonej pracy w polu. To też robotnicy się spieszyli, ożywieni nadzieją spoczynku i przedwieczornym chłodem, który im znużone siły wzmacniał. Nikt wszakże nie witał z taką radością nadchodzącej nocy, jak zmęczony całodziennem próżnowaniem Boruta. Wszedł on do swej izby i położył się na posłaniu. Zasnąć nie mógł, bo w kozie dobrze się wywczasował, a przytem jakiś niepokój wewnętrzny utrzymywał go w ciągłej czujności. Zamknął więc oczy i myślał. O czem? O tem wszystkiem zapewnie, co napełnić lub odziać musiał.

Już gęsty mrok zapadał, gdy na progu izby stanął jakiś wysoki, nieco zgarbiony, chudy mężczyzna.

— Wy stryju? — spytał Klemens.

— A no ja. Cóż to, już śpisz, spracowałeś się w kozie?

— Niech ją! nie ma tam przy szosie roboty?

— Ba! przyszedłem właśnie ci powiedzieć, że jest.

— Co dają?

— Dotąd półtory marki, a od jutra jedną, bo powiadają, że ludzi ma dosyć.

— Ha, będzie przynajmniej na podpłomyk z kwasem.

— Jutro do dnia.

Po tych słowach wyszedł, nie spytawszy nawet, czy jego krewniak ma co polizać. Chłopi nie znają rozczuleń, a może nie mają na nie czasu. Zresztą na usprawiedliwienie Jana przypuścić trzeba, że wiadomość o kiełbasie i bułce musiała za pośrednictwem Kasi dojść do niego.

Nazajutrz stryj z bratankiem wyruszyli do roboty. Przy szosie już znajdował się dozorca Kugelhut.

— A kogo to Jan prowadzi?

— Pan mówił, żeby do szabru...

— Ja nie pytam do czego, tylko kogo.

— Boruta, mój bratanek.

— Wasz bratanek, ten co pana Klein w brzuch tryknął... nie... nie... takie zuchy nie chcę.

Boruta spojrzał na dozorcę wzgardliwie, ale stłumił gniew i odszedł.

Gdzie się podział, znowu nikt powiedzieć nie umiał. Znikł ze wsi bez śladu. Brzost, dowiedziawszy się o tem, mruknął zmartwiony:

— A właśnie barana dorżnąłem.

Ciężko było owczarzowi tembardziej, że po części uznawał się winnym losu Boruty. Przecież, gdyby nie trzmielówka, rządca parobka by nie wypędził, a gdyby nie zeznanieB rzosta, do kozy by nie wsadził.

I Kasia żal za krewniakiem poczuła.

— A tak częstował — mówiła do ojca — jak gdyby sto lat miał tu zostać.

— Te! poszedł pewnie gdzie lepiej — odrzekł Jan — nie ma czego żałować.

Janowa tylko szczerze rada była ze zniknięcia Klemensa. Nie czekając nawet, aż domysł się sprawdzi, wegnała uroczyście prosięta do oczyszczonej izby.

— Djabli nadali — mruczała — wielki pan! Dlatego, żeby miał się gdzie jedną noc przespać, tyle obrazy boskiej. Z bibułki — delikatny! A prosięta to mogą na deszczu. O płot się oprzeć i zdrzemnąć — nie dosyć?

Wszystkich tych żalów i dąsów Boruta nie słyszał, bo był daleko od rodzinnej zagrody, daleko... (d. c. n.)

LISTY Z CZECH.

II.

W lutym 1880.

Niemałośmy radzi z tego, iż możemy Wam donieść, jak mocno się obecnie zajmują literackiemi pracami Polaków w Czechach i jak liczne ich ukazują się przekłady. Pomaga to bardzo do naszego wzajemnego zbliżenia się. Z prac poetyckich już będą trzy wydania „Pana Tadeusza“, waszego nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza, w przekładzie naszej poetki Elizy Krasnohorskiej. Dalej nastąpią „Poesii svetowe“ (zbiór poetycznych płodów cudzoziemskich) drugi zeszyt poezji Juljusza Słowackiego w przekładzie Ottokara Mokrego. Pierwszy zeszyt już wyszedł dawniej i zawiera utwory: Ojciec zadżumionych, Jan Bielecki, W Szwajcarji, Arab, Mnich i Lambro w przekładach bardzo udatnych. Przy tej sposobności nadmieniamy, że p. Mokry podaje perjodyczne przeglądy literatury polskiej w miesięczniku naszym: „Kvety“. Dumy i dumki słowika ukraińskiego Bohdana Zaleskiego przełożył Rudolf Pokorny, który w ostatnim zeszycie „Osvety“ (miesięcznika wydawanego przez Wacława Vleka) podał obszerne a ze znajomością rzeczy napisane studjum o tym wielkim polskim spiewaku. Młody poetaji i tłumacz poezi Asnyka F. V. Kvapil wyda przekład poezji Zygmunta Krasińskiego. Wielkie wrażenie robią u nas znakomite powieści sławnego Kraszewskiego. W „Bibliotece ludowej“. J. Otty, wielce cenionego nakładcy księgarza w Pradze wychodzi „Czarna perełka“, przełożona przez Viléma Spauhela. Tam także wyszła „Chata za wsią“ i prędko doczekała się drugiego wydania, co jest pocieszającym dowodem, jak ta piękna powieść została u nas ocenioną. Dowiadujemy się także, że obok innych powieści Kraszewskiego, które przełożył F. L. Howorka, o czem na innem miejscu „Tygodnia“ wzmianka uczynioną była, wydane bądą i jego najlepsze utwory dramatyczne. W najbliższym czasie, na scenie pragskiej wystawione będą: tragedja Słowackiego „Horsztyński“, Asnyka „Kiejstut“ w przekładzie J. Klika, Bałuckiego „Krewniaki“ w przekładzie autora niniejszego listu i Kaz. Zaleskiego: „Spudłowali“ w przekładzie Howorki. Czasopisma czeskie bardzo pilnie zajmują się ruchem literackim u Was i pojawia się wiele studjów, oraz przekładów polskich powieści i poezji. Morawskie literackie pismo „Koleda“ podało niedawno artykuł p. t. „Listy ze srdce Julia Slowackého od F. Meacika“ i Caslavskiego przekłady mniejszych poezji Z. Krasińskiego, Pola, Lenartowicza i Gawalewicza. W miesięczniku: „Ruch“ znaj-

dujemy artykuł: „Marja Deryng pierwsza artystka dramatyczna teatrów warszawskich i jej gościnne występy w Pradze“ przez F. L. H.

W illustrowanem pragskiem czasopiśmie „Svetozor“ wychodzi przekład powieści historycznej Krasińskiego „Grób rodziny Reichstahlów“ i wiersz Asnyka „U stóp krzyża“ tłumaczenie H. Meisnara. Tamże Howorka podał artykuł o literackiej czynności Bronisława i Marji Grabowskich p. t. „Małżonkowie — pisarze.“

Udzieliłem Wam to, co się u nas robi w celu zbliżenia z bratnim narodem, w celu wzmocnienia wzajemności między Czechami a Polakami. Życzymy z głębi duszy, aby łączność ta trwała wiecznie!

Dnia czwartego lutego obchodzonym był w Pradze jubileusz piędziesięcioletniej działalności muzycznej mistrza Smetany. Pół stólecia minęło, jak ten założyciel nowej czeskiej szkoły muzycznej zasiadł za fortepianem w Litomyślu, aby w mieście rodzinnem, przed muzykami, pokazać, czego się nauczył. Popis wypadł dobrze i los, chłopca sześcioletniego był rozstrzygnięty. Starsi prorokowali mu świetną przyszłość, a wróżba ta była szczęśliwą. Smetana zwalczył wszelkie przeciwności, zdobył sobie wawrzyny, których nikt z jego czoła zdjąć się nie odważy. Smetana stał się reformatorem czeskiej muzyki. Przed piędziesięciu laty objawił się po raz pierwszy w sali litomyskiej geniusz drzemiący w małym chłopcu, — dnia 4go lutego słyszeliśmy mistrza stojącego u zenitu twórczości artystycznej, nawiedzonego najstraszniejszem dla muzyka kalectwem: głuchotą: Pokazał się w kole mnóstwa swych wielbicieli. Był to koncert wielki! Wybór czeskiego towarzystwa zapełnił salę do ostatniego miejsca, w ubiorach świątecznych, uroczystych. Gdy mistrz Smetana pozbawiony słuchu zasiadł do fortepianu, aby zagrać naprzód Nokturn H-dur ubóstwionego przez siebie Szopena i swoją polkę A-moll z „Czeskich tańców“, to po całej sali przeleciał szum, każdy przycichł, a taka była cisza w tem zgromadzeniu, że można było słyszeć serc bicia. Smetana grał tak mistrzowsko, że się zdawało, jakby ten człowiek nieszczęśliwy na tę chwilę słuch odzyskał. Smetana skończył, a grzmiące oklaski zatrzęsły salą. Po tem wstąpiły na estradę deputacje towarzystw i różnych wielbicieli. Śpiewano dalej pieśni Smetany do słów Halka z „Pieśni wieczornych“. Dwie odśpiewała primadonna czeska p. Sitowa a dwie p. Lev, z powodzeniem sensacyjnem. Główną część programu stanowiły symfoniczne utwory mistrza: dawniejszy „Vysehrad“ i dwa nowe: „Tabor i Blanik“ z cyklu: „Ma vlast'“. Tegoż wieczora było uroczyste przedstawienie w teatrze. Dano operę Smetany p. t. „Hubicka“ podczas której robiono serdeczne owacje. Zarząd teatru wręczył mu srebrny puhar. Oprócz niezliczonych wieńcow wawrzynowych, podano Smetanie jeden srebrny i kasetkę piękną z dwustu dukatami. Sławny ten dzień utkwi Smetanie w miłej pamięci, za tyle przejawów wdzięczności.Radzibyśmy więcej coś powiedzieli o wielkich zasługach Smetany i podali jego życiorys, ale w listach naszych brak miejsca do uwag tak obszernych. Nadmieniamy tylko, że czasopismo „Osveta“, o którem wyżej mowa, przyniosło w styczniowym zeszycie dokładny życiorys i krytyczny ozbiór jego tworów znakomitych, pióra poetki Elizy Krasnohorskiej.

Ar. Sch. Polabsky.

NA NOWY TEMAT.

Już wyśpiewano
Wszystko na ton rozmaity:
Niebios błękity,
Majowy wieczór i ranek,
Płochość kochanek,
Twarz bladą łzami zalaną
Już wyśpiewano!

Ach, jaka szkoda!
Właśnie mam w myśli poemat
Na cudny temat:
Początek taki mniej więcej:
Od dwóch miesięcy
Młodzieniec kocha panienkę,
Lecz o jej rękę
Dobija targu u taty
Rywal bogaty.
On stary, a ona młoda...
Ach, jaka szkoda!

Czesław.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IX.

Ucieczka.

W istocie, położenie bardzo było niebezpieczne. Co mógł zrobić Marceli, którego godziny życia były policzone i którego ostatnia noc może zbliżała się z zachodem słońca!

Nie spał ani chwili — nie z obawy, że się nie obudzi więcej, jak powiedział Herr Schultze, ale dlatego, że myśl jego nie mogła rozstać się z Francją - Miastem, któremu groziła tak bliska katastrofa!

„Co począć? — powtarzał sobie. — Zniszczyć tę armatę? Wysadzić w powietrze wieżę, w której się znajduje? Jakże mógłbym dokonać tego? Uciekać!... uciekać, kiedy pokoju mego strzegą te dwa olbrzymy! A chociażby nawet udało mi się przed ową datą 13. września opuścić Stahlstadt, w jaki sposób mógłbym przeszkodzić katastrofie?... Ale tak! Jeżeli nie drogie miasto nasze, to przynajmniej mieszkańców jego mógłbym uratować, dostać się do nich i zawołać: Uciekajcie! uciekajcie niezwłocznie! Grozi wam ogień, grozi żelazo! Uciekajcie wszyscy!“

Potem myśli Marcelego w inną podążyły stronę.

„Ten nędznik Schultze! — myślał sobie — Przypuszczając nawet, że przesadził mówiąc o niszczących skutkach swego granatu, i że nie może zalać całego miasta owym nieugaszonym ogniem, pewną jest jednak rzeczą, że znaczną część jego może spalić odrazu! Straszną to maszynę wynalazł! Pomimo przestrzeni, która rozdziela oba miasta, olbrzymia armata potrafi je dosięgnąć pociskiem swoim! Szybkość początkowa dwadzieścia razy większa od szybkości otrzymanej dotąd! Coś koło dziesięciu tysięcy metrów, dwie i pół mile na sekundę! Ależ to prawie trzecia część szybkości, z jaką ziemia obiega drogę swoją. Czyż podobna?... Tak, tak!... jeżeli działo nie pęknie od pierwszego strzału!... A nie pęknie, bo zrobione jest z metalu, który nigdy nie pęka! Łotr ten zna doskonale położenie Francji-Miasta! Nie wychodząc z jaskini swojej, wyceluje armatę z ścisłością matematyczną, i tak — jak powiedział — granat padnie na sam środek miasta! Jak uprzedzić o tem nieszczęśliwych mieszkańców?!“

Marceli nie zmrużył oka noc całą. Kiedy dzień zaświtał, opuścił łóżko, na którem próżno się męczył gorączkową bezsennością.

„No — powiedział sobie — to na przyszłą noc będzie! Ten kat, który chce mi zaoszczędzić cierpienia, czekać będzie zapewne, dopóki sen nie przemoże niepokoju i nie opanuje mię! A wówczas!... Ale jakąż śmierć przeznacza mi? Czy zamierza zabić mię kwasem pruskim, który da mi do oddychania, jak będę spał? Czy pokój mój napełni owym dwutlenkiem węgla, którego taką ilość ma na zawołanie? Może gazu tego użyje w stanie płynnym, tak jak do swoich granatów ze szkła; płyn wracając nagle do gazowego stanu sprowadzi zimno, wynoszące sto stopni! A nazajutrz, zamiast „mnie“, tego ciała silnego, dobrze zbudowanego, pełnego życia, znajdą mumię wysuszoną, zmarzłą!... Ach! nędznik! Dobrze, niech moje serce wyschnie, jeżeli trzeba, niech życie moje wyziębnie w tej temperaturze do nie zniesienia, ale niech przyjaciele moi, niech doktor Sarrasin, jego rodzina, Joanna, moja mała Joanna, niech będą ocaleni! Ażeby to się stało, muszę uciec... A zatem, ucieknę!“

Wymawiając te słowa, Marceli instynktowym ruchem położył rękę swą na klamce od drzwi, chociaż sądził, że te zamknięte są z zewnątrz.

Z wielkiem zdziwieniem jego, drzwi otwarły się, i mógł, jak zawsze, zejść do ogrodu, gdzie miał zwyczaj przechadzać się.

„Ach! — pomyślał sobie — jestem więźniem w centralnej dzielnicy, ale nie w moim pokoju! To już jest coś!“

Ale znalazłszy się na dworze, Marceli natychmiast spostrzegł, że chociaż wolny na pozór, nie będzie mógł zrobić ani kroku bez towarzystwa dwóch figur, noszących historyczne a raczej przedhistoryczne imiona, Armeniusa i Sigimera.

Nieraz dawniej spotykając ich, zapytywał siebie, jaka jest czynność tych dwóch kolosów szaro ubranych, z szyją byka, z muszkułami herkulesowymi, z czerwonemi twarzami, o gęstych, krzaczastych wąsach i takichże faworytach!

Czynność ich! — znał ją teraz. Byli wykonawcami wyroków Herr Schultze'a, a czasem strażnikami jego własnej osoby.

Ci dwaj olbrzymi mieli go zawsze na oku, spali u drzwi jego pokoju, postępowali za nim krok w krok, jeżeli wyszedł do parku. Nadzór ich tem większego nabierał znaczenia, że oprócz mundurów, które mieli na sobie, uzbrojeni byli w rewolwery i sztylety.

Przy tem wszystkiem milczeli, jak ryby. Kiedy Marceli popróbował zawiązać z nimi rozmowę w celu dyplomatycznym, odpowiedzieli mu tylko srogiem spojrzeniem. Nie przyjęli nawet szklanki piwa, którą ofiarował im, przypuszczając, że nie potrafią oprzeć się tej pokusie. Przypatrując im się przez piętnaście godzin, jedną tylko upatrzył w nich skłonność — jedną — do

fajki, którą pozwalali sobie palić, włócząc się za nim. Czy skłonność ta da się wyzyskać na korzyść ocalenia? Marceli nie wiedział tego, nie mógł jeszcze nic wynaleść; ale przysiągł sobie, że ucieknie i musiał korzystać ze wszystkiego, co mogło mu do tego dopomódz.

Rzecz nie cierpiała zwłoki. Ale jak się wziąć do niej?

Marceli pewnym był, że za najmniejszą oznaką buntu lub ucieczki dostanie dwoma kulami w łeb. W najlepszym razie, przypuściwszy nawet, że te nie trafią go, pozostanie przed nim jeszcze potrójna linia oszańcowana, która opasywała miasto dokoła, wraz z potrójnym rzędem straży,

Dawny uczeń szkoły centralnej, podług swego zwyczaju, postawił kwestję prawidłowo jako zadanie matematyczne.

„I tak, człowiek strzeżony jest przez dwóch zuchów nieznających co to skrupuły, osobiście silniejszych od niego a nadto uzbrojonych od stóp do głów. Człowiek ten musi najprzód oszukać czujność dozorców swych. Kiedy tego dokona, pozostanie mu jeszcze wydostać się z obwarowanego miejsca, do którego wszelki przystęp jest ściśle strzeżony...“

Marceli obracał tę kwestję na wszystkie strony, przerabiał ją i odrabiał, i zawsze widział, że niepodobna jest przebić muru głową.

Nakoniec, czy to że nadzwyczajna trudność położenia, w jakiem się znajdował, dodała silniejszego bodźca jego zdolnościom wynalazczym, czy też przypadek sam tylko wskazał mu potrzebny środek — trudno to powiedzieć.

Dość że nazajutrz, podczas kiedy przechadzał się po parku, oczy jego nagle zatrzymały się na krzewie, rosnącym na jednej z kwater kwiatowyeh.

Była to roślina niepokaźna wcale, trawiasta, o liściach naprzemianległych, kończasto-jajowatych i parzystych, z wielkimi czerwonymi kwiatami w kształcie dzwonków jednopłatkowych, osadzonych na kątowej szypułce.

Marceli, który jako amator tylko był trochę obznajomiony z botaniką, poznał jednak, jak mu się zdawało, charakterystyczną w tym krzewie fizjonomię psiankowatych rodzin. Na wszelki przypadek zerwał mały listek i, przechadzając się dalej, pożuł go lekko.

Nie omylił się. Uczuł wkrótce ociężałość we wszystkich członkach, wraz z początkami nudności, co go przekonało, że miał pod ręką naturalne laboratorjum belladony, to jest najsilniejszego narkotyku.

Tak błąkając się po ogrodzie, doszedł do małego sztucznego jeziorka, które znajdowało się na południe parku i w jednym swym końcu tworzyło kaskadę wiernie naśladującą wodospad lasku Bulońskiego.

„Gdzie odpływają wody tej kaskady?“— zapytał siebie Marceli.

Spływała ona do malej rzeczki, która zakreśliwszy kilkanaście łuków, znikała na krańcu parku.

Musiał przeto znajdować się tam upust, który prawdopodobnie rzeczka napełniała, poczem wymykała się jednym z podziemnych kanałów, zraszających płaszczyznę położoną po za obrębem Stahlstadtu.

Marceli dopatrzył w tem możnosci ucieczki. Nie była to naturalnie szeroka brama, zawsze jednak był to sposób wydobycia się ze Stahlstadtu.

„A jeżeli kanał zamknięty jest kratą żelazną?“ odezwał się głos ostrożności.

„Kto nic nie ryzykuje, nic też nie ma! Piłki nie dla zabawy zostały wynalezione, a jest ich niemało, i to doskonałych w laboratorjum!“ odpowiedział głos inny ironiczny, głos co zwykle dyktuje śmiałe przedsięwzięcia.

W dwie minuty Marceli zrobił postanowienie. Przyszła mu myśl — co się nazywa myśl — niemożebna do urzeczywistnienia może, ale którą on postara się urzeczywistnić, jeżeli śmierć go nie zaskoczy przedtem!

Poczem wrócił od niechcenia w stronę krzewu o czerwonych kwiatach, zerwał z niego dwa lub trzy liście, tak że dozorcy jego musieli to zauważyć.

Wróciwszy do pokoju swego, z takąż ostentacją wysuszył liście te przed ogniem, zgniótł je potem w rękach i nakoniec zmięszał z tytoniem.

Z wielkiem zdziwieniem swojem Marceli budził się co rano przez sześć następujących dni. Czyżby Herr Schultze, którego nie widywał więcej, z którym się nigdy nie spotykał podczas przechadzek, miał zaniechać zamiaru swego co do pozbycia się jego osoby? Nie, zapewne tak jak nie zaniechał zamiaru zniszczenia miasta doktora Sarrasin.

Marceli korzystał z tego, że mu pozwalano żyć, i codziennie powtarzał swój manewr z liśćmi. Naturalnie, że nie palił belladony; w tym celu miał dwie paczki tytoniu, jednę na swój użytek osobisty, drugą na codzienną manipulacją. Celem jego było, obudzić ciekawość Arminiusa i Sigimira. Bydlęta te, tak namiętnie palący fajkę, musiały zauważać nareszcie krzew, z którego zrywał liście, musiały naśladować jego czynność i spróbować smaku, jaki ta mięszanina nadawała tytoniowi.

Wyrachowanie było dobre, i przewidziany skutek nastąpił, można powiedzieć, mechanicznie.

Szóstego dnia — była to wilia owego fatalnego 13. września — Marceli, nieznacznie spoglądając z ukosa po za siebie, z zadowoleniem spostrzegł, że jego strażnicy robią dla siebie mały zapas liści zielonych.

W godzinę potem widział, jak suszyli je przed ogniem, tarli w swoich grubych szorstkich rękach, a wreszcie mięszali z tytoniem. Zdawali się nawet z góry oblizywać na samą myśl tylko o tym przysmaku!

Czy Marceli zamierzał tylko uspić Arminiusa i Sigimera? Nie. Nie o to tylko chodziło mu, by ujść przed ich czujnością. Trzeba było jeszcze znaleść sposób przebycia kanału i wody, która go napełniała, nawet gdyby ten kanał miał kilka kilometrów długości. Marceli wynalazł ten sposób. Wprawdzie w dziewięciu wypadkach na dziesięć mógł zginąć, ale oddawna już zrobił ofiarę z życia swego.

Wieczór nadszedł a z wieczorem godzina wieczerzy, potem godzina ostatniej przechadzki. Nierozłączne trio udało się do parku.

Nie tracąc ani chwili czasu, nie wahając się, Marceli śmiało skierował się w stronę budynku, stojącego wśród drzew, a będącego pracownią modeli. Wybrał jednę z ławek, stojących nieopodal, nałożył fajkę i zaczął palić.

Arminius i Sigimer, którzy mieli już gotowe fajki, usadowili się zaraz na sąsiedniej ławce i zaczęli wypuszczać ogromne kłęby dymu.

Skutek narkotyku objawił się natychmiast. Nie upłynęło pięć minut, a dwaj olbrzymi teutońscy ziewali i wyciągali się jak niedźwiedzie w klatce. Oczy ich mgłą zaszły; w uszach im dzwoniło; twarze z czerwonych stały się wiśniowe; ramiona osunęły się nieruchomie; głowy opadły na poręcz ławki.

Fajki potoczyły się na ziemię.

Nakoniec donośne chrapanie z dwóch piersi zmięszało się ze spiewem ptaków, które z powodu ciągłego lata stale zamieszkiwały parki Stahlstadt'u.

Marceli czekał tylko na tę chwilę. Łatwo pojąć, z jaką czekał niecierpliwością, ponieważ nazajutrz wieczór, o czterdzieści pięć minut na dwunastą, Francja-Miasto, skazane przez Herr Schultze'a, miało przestać istnieć.

Marceli wpadł do pracowni wzorów. W wielkiej tej sali było prawdziwe muzeum. Zmniejszone maszyny hydrauliczne, lokomotywy, maszyny parowe, lokomobile, pompy, śruby, maszyny do dziurawienia, pudła statków, maszyny morskie, jednem słowem samych arcydzieł na kilka miljonów. Były to modele z drzewa, przedstawiające wszystko to, co fabryka Schultze'a wykonała od chwili jak została założoną; łatwo się domyślić, że nie brakło tam modeli dział, torpili i granatów.

Noc była ciemna a zatem stosowna do śmiałego projektu, który młody Alzatczyk ułożył był sobie. Przygotowując się ostatecznie do ucieczki, zamierzył zniszczyć jednocześnie muzeum modeli Stahlstadt'u. Ah! gdybyż mógł zburzyć wraz z kazamatą i działem, które w niej stało, potężną i nieulegającą zniszczeniu Wieżę Byka! Ale nie było co myśleć o tem.

Pierwszem staraniem Marcelego było wyszukać między narzędziami małą stalową piłkę, mogącą piłować żelazo; wsunął ją zaraz do kieszeni swojej. Potem, śmiałą, pewną ręką potarł zapałkę o pudełko, które wydobył z kieszeni, i płomień jej zbliżył do stosu tek z rysunkami i lekkich modeli z sosnowego drzewa, złożonych w kącie sali.

Zrobiwszy to wyszedł.

W chwilę potem ogień, podsycony palnymi materjałami, wybuchnął ogromnym płomieniem, który w tysiącznych językach przedarł się przez okna. Natychmiast potem, dzwon uderzył na trwogę; strumień elektryczny poruszył wszystkie elektryczne dzwonki w rozmaitych cyrkułach Stahlstadt'u, i pompierzy wraz z porowemi maszynami zbiegli się ze wszystkich stron.

W tejże chwili zjawił się Herr Schultze, którego obecność mogła tylko pobudzić i zachęcić robotników do większej czynności.

W kilka minut kotły z parą poddano ciśnieniu i ogromne pompy w szybki wprawiono ruch. Potok wody spadał na ściany i na dach muzeum modeli. Ale ogień silniejszy był od wody, która, można powiedzieć, zamiast gasić go, ulatniała się przy zetknięciu się z nim i wkrótce pożar ogarnął gmach cały ze wszystkich stron. W pięć minut stał się tak silnym, że niepodobna było myśleć o ugaszeniu go. Widok to był straszny i wspaniały zarazem.

Marceli, ukryty w kącie nie spuszczał oka z Herr Schultze'a, który napędzał swych ludzi jak gdyby chodziło o przypuszczenie szturmu do

miasta. Muzeum modeli stało odosobnione w parku, i teraz już nie podlegało wątpliwości, że spali się całkowicie.

Nareszcie Herr Schultze, widząc, że nie będzie można ocalić samego budynku, wykrzyknął grzmiącym głosem:

— Dziesięć tysięcy dolarów temu, kto ocali model nr. 3175, stojący za szkłem na środku!

Model ten był właśnie modelem słynnej armaty, wydoskonalonej przez Herr Schultze'a; był on dla niego droższym od wszystkich przedmiotów, znajdujących się w muzeum.

Ale dla uratowania go, trzeba było rzucić się w sam środek ognia, przez atmosferę czarnego dymu, w którym zapewne niepodobna było oddychać. Na dziesięć prawdopodobieństw było ich dziewięć, że kto raz tam wejdzie, nie wydostanie się już ztamtąd! To też pomimo przynęty dziesięciu tysięcy dolarów, nikt nie odpowiadał na wezwanie Herr Schultze'a.

Wtem człowiek jakiś stanął przed nim.

Był to Marceli.

— Ja pójdę — rzekł.

— Wy! — zawołał Herr Schultze.

— Ja!

— Ale to was nie uratuje, wiedzcie o tem, od wyroku śmierci, który padł na was!

— Nie myślę o tem, by go uniknąć, chcę tylko ocalić ten drogocenny model!

— Idź-że zatem — odpowiedział Herr Schultze—a przysięgam ci, jeżeli dokonasz tego, dziesięć tysięcy dolarów wiernie doręczone zostaną spadkobiercom twoim.

— Rachuję na to — odpowiedział Marceli.

Przyniesiono kilka przyrządów Galiberta będących zawsze na pogotowiu, na przypadek pożaru, z ich pomocą bowiem można dostać się do miejsc, w których niepodobna inaczej oddychać Marceli używał już ich wówczas, kiedy to usiłował ratować od śmierci małego Karla, syna pani Bauer.

Jeden z tych przyrządów pod ciśnieniem kilku atmosfer naładowany powietrzem, został natychmiast umieszczony na jego plecach. Ze szczypcami na nosie, z główką od rur w ustach, rzucił się w dym.

— Nakoniec! — pomyślał sobie. Mam w rezerwoarze powietrza na kwandrans czasu!... Dałby Bóg, by mi to wystarczyło!...

Czytelnik domyśli się z łatwością, że Marceli nie myślał wcale o ocaleniu modelu armaty Schultze'a. Z niebezpieczeństwem życia przebył salę napełnioną dymem, pod gradem palących się głowni i płomienistych belek, które jakby cudem nie dosięgły go, i wymknął się drugiemi drzwiami wychodzącemi do parku, w chwili kiedy dach palącego się budynku zapadł z trzaskiem wśród rzęsistego deszczu iskier, które wiatr unosił aż ku obłokom.

W kilka sekund Marceli dobiegł do rzeczki, spuścił się wybrzeżem jej do nieznanego upustu, który uprowadzał tę rzeczkę po za granice Stahlstadtu, i bez wahania się, rzucił się do wody.

Szybki prąd pchnął go w masę wody mającej siedm do ośm stóp głębokości. Nie potrzebował kierować się, bo prąd unosił go tak, jak gdyby był trzymał nitkę Arjadny. Zarazże prawie spostrzegł, że znajduje się w wąskim kanale w rodzaju kiszki, którą wysoka woda rzeczki całkowicie napełniała.

— Jaka jest długość kanału tego? — pytał sam siebie Marceli. Wszystko odtego zależy! Jeżeli go nie przepłynę w kwadrans, powietrza zabraknie mi i jestem zgubiony!

Marceli zachował krew zimną. Od dziesięciu minut prąd go unosił, kiedy wtem przeszkoda jakaś zatrzymała go.

Była to krata żelazna, ustawiona na zawiasach i zamykająca kanał.

— Obawiałem się tego! — pomyślał sobie Marceli.

I nie tracąc ani sekundy czasu, wyciągnął z kieszeni piłkę i zaczął piłować rygiel przy samej blaszce, w którą tenże był wsunięty.

Pięć minut pracy nie naruszyło rygla. Krata wciąż jeszcze była zamknięta. Marceli oddychał już z wielką trudnością. Powietrze, bardzo rozrzedzone w rezerwoarze, w niedostatecznej ilości wpływało do płuc jego. Szum w uszach, krew w oczach, kongestja w głowie, wszystko wskazywało, że niezwłoczne uduszenie mu grozi! Opierał się jednak, powstrzymywał oddech, by jak najmniej połykać tego tlenu, którego płuca jego nie mogły wydobyć z nizkąd!... ale rygiel chociaż mocno nadpiłowany, trzymał się wciąż!

Wtej chwili piła wypadła mu z rąk.

— Bóg nie może być przeciwko mnie!

I chwyciwszy kratę dwoma rękami, potrząsł nią z tą siłą, jaką daje najwyższy instynkt zachowawczy.

Krata otworzy się. Rygiel pękł i prąd unosił nieszczęśliwego Marcelego, który na wpół żywy, ostatkami sił wdychał ostatnie atomy powietrza z rezerwoaru!

. . . .

Nazajutrz ludzie Herr Schultze'a, wszedłszy do budynku zupełnie zniszczonego pożarem, nie znaleźli ani pod gruzami, ani w ciepłych jeszcze popiołach, żadnego śladu ludzkiej istoty. Nie ulegało przeto żadnej wątpliwości, że odważny robotnik padł ofiarą poświęcenia swego Nie dziwiło to wcale tych, którzy go znali w pracowniach fabryki.

Drogocenny model nie mógł być uratowany; ale człowiek, który posiadał tajemnicę Stalowego króla, zginął.

— Bóg mi świadkiem, że chciałem mu oszczędzić cierpienia, powiedział sobie po prostu Herr Schultze! W każdym razie, oszczędziło się dziesięć tysięcy dolarów!

Była to jedyna pogrzebowa mowa z powodu zgonu młodego Alzatczyka! (C. d. n.)

MAGNETYZM ZWIERZĘCY.

Sprawa „magnetyczna“ Hansena w Wiedniu do najwyższego stopnia podrażniła umysły, ze sfer najrozmaitszych. Publiczność ciśnie się na jego przedstawienia, profesorowie uniwersytetu zajmują się dziwnemi objawami, które on sprowadza, sądy rozbierają proces ciekawy o oszustwo, dziennikarstwo codziennie przynosi nowe wiadomości. Może już raz nareszcie ta „cudowna“ sprawa zostanie rozstrzygniętą i przestanie być straszydłem niepokojącem.

Równo przed stu laty wystąpił w Wiedniu niejaki Fryderyk Antoni Mesmer, i zaczął pokazywać rozmaite dziwowiska, którym nadano nazwę „Mesmeryzmu“ a potem zwierzęcego magnetyzmu. Mesmer twierdził, że istnieje w przyrodzie pewne „Fluidum“, tak delikatne, że go dojrzeć nie można, napełniające wszechświat cały, nieznoszące żadnej próżni, znajdujące się w ciągłym ruchu, i pośredniczące w wymianie sił między światami i organizmem. To „Fluidum“ nazwał Mesmer siłą „magnetyczną“ utrzymującą świat w stanie takim, jakim jest obecnie. Jest to coś z „eteru“ nowoczesnego i coś z Newtonowskiej siły ciążenia ogólnego. I jak wpływ księżyca i słońca sprowadzana na ziemi przypływ i odpływ morza, tak też te same wpływy odbijać się muszą na ludziach i zwierzętach. Oprócz tego Mesmer przyjmował, że Fluidum to zawarte w różnych indywiduach, różni się tak jak ich charaktery i inne różne własności. Raz występuje słabiej, to znów silniej: Jak magnes działa na żelazo, tak też Fluidum zawarte w jednym człowieku, działa na drugiego, przez „wypromieniowanie“. Silniejszy zbiornik siły „magnetycznej“ może panować nad słabszym. Mesmer twierdził, że szczególniej u chorych na nerwy, płyn magnetyczny może silnie swój wpływ wywierać i działać uzdrawiająco. Mesmer w swoich leczeniach używał rzekomego swego wpływu osobistego magnetycznego, i wpływu magnesów prawdziwych. Zbudował nawet przyrząd na tej zasadzie oparty, który nazwał *Baguette magnétique*. Było to dębowe naczynie napełnione kawałkami minerałów, opiłek żelaznych, szkłem tłuczonem i wodą.

Przy „magnetyzowaniu“ Mesmer używał następującej metody. W środku pokoju, w którym się pacjenci znajdowali, stało wyżej opisane naczynie. Z nakrywki jego wychodziły pręty żelazne na wszystkie strony. Chorzy usadawiali się naokoło i przykładali pręty żelazne do części ciała, które uważali za siedlisko choroby. Magnetyzer sam chodził z laską metaliczną od jednego do drugiego i dotykał miejsc chorych.

Niektórzy z pacjentów nie odczawali żadnego wpływu, bardziej nerwowi czasami się leczyli, a często dostawali napadów kurczu, konwulsji i t. p. chorobliwych napadów. Fakta te są historycznie skonstatowane.

Gdyby Mesmer zadowolił się temi rezultatami, to nie miałby tylu przeciwników i nie nazywano go by powszechnie oszustem. Lecz on poszedł dalej i twierdził, że potrafi leczyć wszystkie choroby, przypisywał sobie siłę nadprzyrodzoną i grał rolę jarmarcznego wydrwigrosza.

Wskutek tego cały świat medyczny zabił go milczeniem. Zapomniano o nim. Jego pisma spały snem umarłych w bibliotekaah, aż do ostatniej chwili. Wtem niedawno rozeszła się w Paryżu wiadomość że niejakiemu lekarzowi panu *Burq* udało się wywołać lecznicze rezultaty na niektórych nerwowych chorych prostem przykładaniem do części cierpiącej ciała, płyt metalowych. Przytem zrobiono to dziwne spostrzeżenie, że na pewnych ludzi, działają pewne metale; u jednych wpływa silnie płyta złota, u innych srebrna, żelazna i t. p. Nie tylko u osób nieczułych, t. z. anestetycznych spostrzeżono wpływ metali, lecz i przy skurczach stałych, epilepsji i innych chorobach należących do szeregu chorób nerwowych.

Metoda używania w takich razach metali jest bardzo prostą. Gdy się znajdzie przez próbowanie metal odpowiedni, przykłada się do porażonej części płyty kwadratowe wielkości 15 do 20 centymetrów, a po dziesięciu lub po dwudziestu minutach następuje często to zjawisko, że czułość powraca, że nawet częściowa ślepota

*

nerwowego pochodzenia, tak zwana Amblyopia, znika. Przytem często obserwować można to dziwne zjawisko, że gdy po jednej stronie ciała objawy chorobliwe znikają, po drugiej symetrycznie położonej znów występują. To się nazywa w terminologji francuskiej: „Transfert“

Jakkolwiek, to cośmy przytoczyli, brzmi bardzo nieprawdopodobnie, jednak jest prawdziwem, bo znakomite powagi naukowe ręczą za to na podstawie własnych doświadczeń. Charcot, Luys, Dumontpallier, Landolt, Gellé, Regnard i wielu także niemieckich nerwopatologów stwierdziło to niejdenokrotnie. (*) Oprócz tego przekonano się w ostatnich czasach, że nietylko płyty metalowe, ale i z kości, drzewa, różne ciała rozgrzane, prądy slabe elektryczne, wywierają wpływy podobnego rodzaju. W ostatnich czasach udało się nawet profesorowi Charcotowi, wywoływać tą drogą objawy katalepsji, na zupełnie zdrowych indywiduach.

Pomimo tych wszystkich faktów, sceptycznie przyjmowano je w kołach lekarskich aż do ostatniej jesieni, do zjazdu przyrodników niemieckich w Baden-Baden, na którym znakomity fizjolog prof. *Schiff* z Genewy wystąpił z odczytem objaśniającym sprawę całą i potwierdził wszystkie zjawiska. Chodzi teraz o to, jaką drogą działają metale na nerwy? Według genialnych doświadczeń Schiffa, należy to sprowadzić do przenoszenia ruchów drobinowych, ruchów właściwych wszelkim ciałom na świecie. Prof. Schiff był jednym z najgorliwszych sceptyków w sprawach tyczących się wpływu metalów, i nazywał ten cały hałas, który ztąd powstał zwykłem oszustwem, a jednak gdy sam zaczął robić doświadczenia, przekonał się o prawdzie i teraz ogłosił ją światu.

Dlaczegożby słabszym był wpływ jednego człowieka na drugiego, jak wpływ płyty metalowej? Dlaczegożby ruchy drobinowe silnego organizmu, nie przenosiły się z łatwością na chore nerwy innego indywiduum? Na tem zdaje się opierają wszelkie zjawiska wchodzące w zakres tak zwanego magnetyzmu.

Przed paru laty miałem sposobność zrobić interesujące spostrzeżenie z pewnym młodym człowiekiem. Byliśmy w pewnem kółku zgromadzeni w domu prywatnym i zeszła rozmowa na magnetyzm. Obiecałem towarzystwu pokazanie paru zjawisk tego rodzaju. Przyniesiono kurę, którą natychmiast uspiłem według powszechnie znanego sposobu. Kanarek uległ dobrze tej samej operacji. Przeszliśmy następnie do prób z ludźmi. Na fotelu usiadła młoda dama i położyła ręce na kolanach; przystąpiłem do niej i prosiłem aby utkwiła swój wzrok na koniec mego palca, który trzymałem skierowany ku jej nosowi. Skutku jednak nie było żadnego. Dama się skarżyła tylko, że czuje nieprzyjemny nacisk w głowie. Obecni zwolennicy magnetyzmu twierdzili, iż tą drogą doświadczenie się nie uda i że trzeba rękami robić kołowe ruchy naokoło głowy, aby prąd magnetyczny (?!) mógł przejść z rąk do mózgu. Zmieniłem następnie osobę i posadziłem na fotelu chłopca bladego, który się znajdował w towarzystwie. Prosiłem wszystkich o zupełną ciszę. Potem trzymałem przed jego nosem mój palec prawej ręki, a lewą suwałem po nad jego głową. Kazałem mu utkwić oczy na mój palec. Po chwili opadły mu ręce, wyciągnął kurczowo nogi naprzód, otworzył powieki i wlepił nieruchomo oczy w sufit. Wpadł raptownie w stan katalepsji i hypnotyzmu. Stracił zupełnie świadomość i trwało to $9^1/_2$ minut. Wszyscy obecni byli w nieprzyjemnem natężeniu umysłu i z zabawy zrobiła się rzecz serjo. Ani wołanie po imieniu, ani kłucie igłą, nie mogły rozbudzić młodego człowieka i nie wywoływały żadnego ruchu. Źrenica była nie czuła na zbliżenie świecy, i wyglądała tak, jakby do oka zapuszczoną była atropina. Po dziesięciu minutach chłopak zaczął się ruszać, przetarł sobie oczy i po paru minutach był zupełnie trzeźwym i nie czuł wcale żadnego wpływu. O tem co się prez czas uśpienia działo, nic nie wiedział.

W ostatnich latach paru, wielokrotnie próbowałem doświadczenia tego rodzaju. Sztuki, jakie Hansen w Wiedniu pokazuje, noszą na sobie piętno kuglarskiej reklamy. Jednak niektóre z pokazywanych doświadczeń, mają pewną realną podstawę i dają się sprowadzić do zjawisk wyżej opisanych. Że jego doświadczenie raz się udaje, to znów rezultaty są ujemne, nie należy się temu dziwić. Trzeba pewnego powinowactwa nerwowego pomiędzy usypiającym a usypianym, żeby zjawiska mogły na jaw wystąpić. Jak przy użyciu metalów na jednych działa złoto, gdy na drugich jest nieskutecznem, tak i trzeba pomiędzy dwoma ludźmi odpowiedniego stosunku nerwowego, żeby mogli na siebie oddziaływać.

Według mego przekonania nie chodzi tu o żaden cud, lecz o zwykłe zjawisko natury czysto fizycznej, wchodzące w zakres badań, i które niedługo dokładnie zbadane zostaną.

Dr. T. Stein.

(*) Interesujących się tą sprawą odsyłamy do artykułu Dra Edwarda Sawickiego (Listy z podróży) w ostatnim roczniku Przeglądu lekarskiego i do sprawozdań z ostatniego zjazdu przyrodników niemieckich. P. R.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Proces „socjalistów“ w Krakowie. „Zgrzyt“ i „Tyrannenmörder“. Niemieckie propozycje rozwiązania kwestji społecznej. Deputowany Meyer i pan Baczewski ze Lwowa. Francos w Ueber Land und Meer o naszych stosunkach. Zamach petersburski. Przekonania margrabiego Zygmunta Wielopolskiego. Pamiątkowe wydawnictwo dzieł Jana Kochanowskiego. „Nowiny“.)

Proces „socjalistów“ krakowskich szczególniejsze budzi zajęcie. Pierwszy to raz bowiem zaleciał do nas większy powiew tej burzy, która wstrząsa obecnie posadami wszystkich państw europejskich. My, Polacy, mieliśmy zaprzątniętą czem innem głowę, sprawy naszego istnienia zajmowały całą uwagę i zaledwie jednostki, bez oparcia żadnego w naszym narodzie, stawały w szeregach apostołów nowych nauk społecznych. Jednostki też tylko dotąd ukazywały się w procesach. Sprawa, która się sądzi w Krakowie, jest pierwszą, na większą skalę zamierzoną, jest o ile z aktu oskarzenia wnosić można, wynikiem organizacji szerszej, i to właśnie budzi zajęcie, bo z procesu dowiemy się w jakim stosunku społeczność nasza znajduje się do walk o nowy porządek rzeczy, czy są w niem warunki do szerzenia się tych nowinek i czy spokojni w najbliższych latach będziemy, czy też spodziewać się należy tego zamętu, który zapanował prawie epidemicznie w całym cywilizowanym świecie.

Z aktu oskarżenia i z dotychczasowego przebiegu procesu, wnosić już można, że cała ta sprawa jest przygasającem echem tego, co gdzie indziej ma doniosłość największej wagi. Już sam wiek znacznej części oskarżonych — większość nie jest pełnoletnią — uprawnia nas do takiego sądu. A potem ogólny nastrój całej sprawy, zamięszanie pojęć i niejasność celów, jeszcze bardziej za tem przemawiają. W dodatku jeszcze dziwaczne pomysły, jak zabawne przezwiska, Kakaba, Kacabaja, Faja, które sobie podawali, jak owe pismo wydawane w więzieniu, a noszące charakterystyczny, przerażający tytuł: *Zgrzyt*, przypominający nam studenckie czasy, kiedy w jednem z gimnazjów prowincjonalnych, wydawali uczniowie kilkunastoletni pisemko ulotne z niemieckim tytułem: *Der Tyrannenmörder!*

Nie! to nie przewróci istniejącego porządku społecznego.

* * *

Małoduszni milczą przyglądając się temu chaosowi — głębiej myślący szukają ratunku. Lecz żeby choć jedna myśl nowa, jeden środek pewny, jeden człowiek, co jak Chrystus zdołałby wprowadzić jasność do zamętu. Nikogo!

Niemcy, którzy teraz przodują cywilizacji, znaleźli wprawdzie przyczynę złego i środek zaradczy, ale nie wiemy, czy to nam do przekonania trafić zdoła. Na jednem z posiedzeń parlamentu niemieckiego, poseł Meyer miał mowę z powodu rozpraw nad ustawą propinacyjną i między innemi w gorącej swej filipice przeciw opodatkowaniu piwa i wina, powiedział kilka zdań charakterystycznych, które tu przytaczamy.

„Łamano sobie często głowę nad tem — mówił — jak się to stało, że cywilizowane ludy starożytności, Fenicjanie, Kartagińczycy i in. po krótkiem zabłyśnięciu, zaginęły. Można być o tem różnego zdania; co do mnie, jestem przekonany, że nie mogły się te ludy utrzymać, gdyż nie miały nic porządnego (nichts Vernünftiges) do picia. Piwo — mówił dalej mówca — jest wplątane w całą historję narodu niemieckiego, związane z całym rozwojem politycznym ostatnich czasów. Należy to do wymagań, które stawiać może „ein gesittetes Volk“, żeby mu podawano napój, przy którym mógłby po pracy skończonej odpocząć wśród rozmowy wesołej i rozsądnej. Panowie! Nie powinniśmy rozszerzać moralnej walki z wódką, do piwa bawarskiego. Bez tego piwa obejść się nie możemy!“

Z tej mowy, w obliczu świata, przez reprezentanta narodu niemieckiego powiedzianej, wyprowadza się wniosek prosty. Aby zachować ład społeczny, aby utrzymać państwowy byt, należy dać narodowi „coś rozsądnego“ do picia.

Przypomina nam to naszego lwowskiego Meyera, p. Baczewskiego, fabrykanta likierów, który w osobnej broszurze opisującej historją wiekową prawie jego zakładu, twierdzi, iż ulepszając trunki, przyczynił się do podniesienia i umoralnienia ludu. Gdyby nie to, lud nasz nie stałby dzisiaj tak wysoko i nie cieszyłby się takim dobrobytem!

Ulepszajmy gatunki wódek, podnośmy dobroć piwa, zniżajmy jego cenę, a będzie wszystkim lepiej!

* * *

Znanym jest zapewne czytelnikom naszym P. Karol Francos, który urodzony na polskiej ziemi i wychowany na polskim chlebie, pisze o nas brednie i fałsze i czerni nas gdzie tylko

może. Obecnie znane popularne pismo niemieckie Ueber Land und Meer, drukuje powieść a raczej pamflet, w którym kłamstwo i bezczelność P. Francosa przechodzą wszelkie granice.

Wolno jest takiemu p. Francosowi pisać takie rzeczy, wolno jest pp. Redaktorom Ueber Land und Meer drukować tak nikczemny pamflet wiedząc o fałszu — ale nam nie wolno jest milczeć i puszczać obelg bezkarnie.

Prasa warszawska poruszyła już tę sprawę i na jej odezwę mieszkańcy Kongresówki tłumnie zaprzestają prenumerować Ueber Land und Meer.

Obowiązkiem naszym jest uczynić tak samo i na obelgi niemieckie odpowiedzieć argumentem najbardziej przemawiającym do niemieckiego rozumu — talarem. Uczciwy człowiek, Polak nie powinien prenumerować tego czasopisma, które, niestety, dotąd rozchodzi się u nas w wielkiej masie egzemplarzy

* * *

Jestem przekonany, że jakkolwiek wszyscyśmy mocno odczuli nowy zamach na cara Aleksandra, jednakże ze wszystkich Polaków najboleśniej dotknęło to jenerała Gurkę i margrabiego Zygmunta Wielopolskiego, który także, jak sam powiada w liście do *Orędownika* poznańskiego: dziękując Bogu, obdarzony jest odwagą żołnierską". Gurkę to boli, bo pod jego dyktatorskiem okiem sadzają miny w ostatnim niby bezpiecznym przytułku cara, którego strzedz ma jak oka we łbie, a margrabiego boli to jeszcze więcej, bo jak pisze we wzmiankowanym liście, bardzo jest »*przywiązanym*« do tego „Monarchy, który zaufał memu ojcu, kraj narodowemi instytucjami obdarzył, a pomimo doznanego ciężkiego i bolesnego zawodu, uczuć swych względem mego ojca nigdy nie zmienił."

Margrabia zaczyna grać rolę polityczną. Najbardziej mu przypadła do smaku rola hrabiego w Nieboskiej komedji, ale przyłączył do niej jeszcze tyle rysów odrębnych, że nieznośną się stała nawet jego dawnym zwolennikom. Teraz jak „szkodliwy pojedynek polityczny" błąka się i tylko od czasu do czasu ukazuje swe poglądy w listach otwartych, które coraz jaśniej określają jego stanowisko.

List *Orędownika* jest najbardziej wymownym ze wszystkich. Przytaczamy zeń parę ustępów, które streszczają dążności margrabiego. Oto jego własne słowa: „Jakiż Monarcha nie byłby szczęśliwy, mieć pod swojem berłem same szczęśliwe narody! A czyż Cesarze Rosyjscy nie dali tego dowody! Czyż nie my sami zniszczyli w r. 1831 polskie dzieło Aleksandra I., a Aleksandra II. w r. 1863!! Otóż łatwo niszczyć, budować zaś niezmiernie trudno."

„Jeśli chceny módz liczyć na sprawiedliwość, bądźmy sami sprawiedliwymi; jeśli chcemy do prawa się odwoływać, zacznijmy sami od szanowania go, każde bowiem prawo polityczne jest względne i tylko z poszanowania praw każdego i wszystkich, znajdziemy uznanie własnych".

W innem miejscu powiada: „Zaprzeczam im (patrjotom z professji) prawa, oskarżania kogokolwiek za lojalność względem Monarchy, który *prawnie* i *de facto* jest Królem Polskim".

Tych kilka ustępów, bez komentarzy, wystarczą do scharakteryzowania tyle wybitnej i tak głośnej w tej chwili osobistości, jaką jest margr. Zygmunt Wielopolski.

* * *

Wydawnictwo tarnowskiej biblioteki uniwersalnej zapowiedziało wydanie pism Kochanowskiego. Krok ten uważamy za niestosowny, wobec tego, że w trzechsetletnią rocznicę śmierci ma wyjść w Warszawie zbiór prac jego pamiątkowy i tani. Wydawcy powinni przecież wiedzieć o tem i nie robić konkurencji zamierzonemu i tak pożytecznemu przedsięwzięciu.

Komitet redakcyjny prowadzi wciąż czynności przygotowawcze około tej publikacji pamiątkowej.

Utwory wieszcza z Czarnolasu mają się ukazać w dwóch wydaniach.

Większe wydanie czyli ozdobne, w czterech tomach in 4to zawarte, obejmować będzie trzy działy, a mianowicie:

1. Wszystkie bez wyjątku dzieła poety, polskie i łacińskie, przytem portret autora, wizerunek nagrobka w Zwoleniu, podobiznę własnoręcznego listu, podobizny kart tytułowych z pierwszych wydań, niektóre melodje psalmów Mikołaja Gomółki, na dzisiejszy klucz muzyczny przełożone, wreszcie ogólną ozdobną kartę tytułową w stylu odrodzenia.

2. Dział krytyczny, w którym będą pomieszczone: *a)* dokładny życiorys Kochanowskiego, wraz ze studjum nad jego dziełami, przez Romana Plenkiewicza; *b)* bibljografia wydań Kochanowskiego, pióra profesora J. Przyborowskiego; *c)* rozprawa o języku poety, przez A. Kryńskiego; *d)* rozprawa o budowie i rytmiczności wiersza Kochanowskiego, przez L. Jenikego.

3. Dział komentarzy, który zawierać będzie objaśnienia historyczne, estetyczne, mitologiczne i językowe.

W wydaniu tem zachowane będą ortografia i wszelkie właściwości językowe wydań szesnastego stulecia tak, ażeby dawały niejako obraz języka i pisowni owej epoki.

Wydanie mniejsze popularne w 2 tomach in 8vo tem się będzie różniło od większego, że poczje, napisane przez Kochanowskiego po łacinie, umieszczone tu będą w przekładach polskich Brodzińskiego, Syrokomli i in., a zamiast pominiętych rozpraw, znajdować się będzie wstęp biograficzny.

Ze względu, iż wydanie to ma być popularnem, komitet redakcyjny postanowił pominąć w niem niektóre utwory polskie i łacińskie.

Do udziału w tem wydawnictwie pamiątkowem zaproszone zostało dość liczne grono współpracowników, którzy też przyjęli na siebie obrobienie pojedynczych utworów, a mianowicie: pp. Antoni Bądzkiewicz opracuje „Proporzec", Chmielowski „Pieśń o Sobótce", Wład. Dębicki „Monomachję", Br. Grabowski „O Czechu i Lechu", J. Karłowicz „Pamiątkę Tęczyńskiego", Ad. An. Kryński „Psałterz" i „Nowy karakter", K. Kaszewski „Satyra", R. Loewenfeld „Treny", „Carmen macaronicum" i poezje łacińskie, Fl. Łagowski „Zuzannę" i „Fragmenta", prof. L. Malinowski „Epithalamium na wesele Radziwiłła", prof. Wł. Nehring „Odprawę posłów greckich", Wł. Nowca „Brodę", „Marszałka" i „Zgodę", Niedźwiecki „Szachy" i „Wróżki", Stef. Okołow „Fenomena", prof. Pawiński „Jazdę do Moskwy", R. Plenkiewicz „Muzę", „Omen" i drugą księgę „Pieśni", pr. J. Przyborowski „Fraszki" i „Wzór pań mężnych", S. Smolikowski „Dziewosłęba" i „Epithalamium", J. A. Święcicki „Dryjas", oraz Sz. T. Włoszek „Wykład cnoty", „O pijaństwie" i księgę pierwszą „Pieśni".

Wszystkie te nazwiska, prawie bez wyjątku, dobrze są już znane w piśmiennictwie naszem, co pozwala pomyślnie wróżyć o podjętych pracach. Takąż nadzieję żywić można i co do powodzenia wydawnictwa. W tym względzie mówi jego cel. A cel ten — gruntowne zapoznanie ogółu z utworami Jana Kochanowskiego — zrozumiany będzie niewątpliwie dobrze i urzeczywistniony przez wszystkich tych, co cenią należycie znajomość literatury krajowej, w której tak wybitne miejsce zajmuje czarnoleski „książę poetów". Wreszcie winniśmy dodać, iż komitet redakcyjny odwołuje się do wszystkich osób, mających styczność z archiwami i księgozbiorami tak w kraju, jak za granicą, upraszając gorąco o nadsyłanie szczegółów, dotyczących życia i bibliografji poety z Czarnolesia.

Wobec szczegółów, które podajemy, a które nie mogą być obcemi wydawcom tarnowskiej biblioteki, sądzimy iż obywatelski obowiązek nakazuje im odstąpić od wydawnictwa.

* * *

Zaczęło wychodzić we Lwowie nowe pismo, o którem podaliśmy już wzmiankę w ostatnim numerze *Tygodnia* „Nowiny" redagowane przez p. T. Romanowicza prezentują się bardzo dobrze. Dwa pierwsze numera, któreśmy czytali pełne są treści i są rzeczywiście pierwszem pismem, dającem obraz całkowity ruchu społecznego i handlowego u nas. Oddawna czuć u nas było brak pisma tego rodzaju, któreby w sposób poważny, ze znajomością rzeczy, podniosło sprawozdanie z tych dziedzin ruchu umysłowego. Kto życzy wiarogodnych informacji w sprawach handlowych, ekonomicznych, statystycznych, znajdzie ich tam podostatkiem Życzymy nowemu pismu z naszej strony, jak najlepszego powodzenia!

LITERATURA SZOPENOWSKA.

(Z Augsburger Allg. Zeitung.)

(H. K.) Minęły już czasy kiedy tak dziwnie poetyczne utwory sympatycznego Polaka, określano jako „szlachetniejszą myzykę do tańca", albo też znajdowano je pełnemi pointy", lecz nie przypisywano trwałej wartości, bo nie umiano grać dzieł jego, tak jak tego mistrz sobie życzył i dla tego dla tłumów właściwy Szopenowi czar, był zakrytą tajemnicą. Szopen nie był pierwszym, któremu wytrawni krytycy robili zarzut dyletantyzmu, ponieważ nie wyszedł z żadnej z uznanych szkół muzycznych i do żadnej się nie przyłączył. Gdy Szopen w Wiedniu wystąpił, pewien recenzent napisał o nim że: „ten człowiek umie grać, ale nie komponować". Właśnie to, co w muzyce Szopena wydaje się nam charakterystycznem, nowem, porywającem, musiało się wydawać dziwacznem temu, co po raz pierwszy słyszał utwory tego geniusza, ukazującego swe indywidualne własności w sposób wybitny, jaskrawy, bezwzględny. Aby pojąć Szopena w całej jego doniosłości i to odrazu, trzeba być tak znakomitym i bez przesądów muzykiem, jak Mendelsohn, Schumann, Hiller, Liszt, u których Szopen odrazu znalazł gorącą sympatję i zupełne zrozumienie. Uznaniem wybranych znawców musiał się Szopen za życia zadowolić; oni jedni mogli go ocenić i zrozumieć. Wielka publiczność z sal koncertowych nawet arystokratyczne towarzystwo salonów któ-

rego Szopen był ulubieńcem w Paryżu, podziwiało go, lecz nie rozumiało.

Dziś rzeczy się mają inaczej. Geniusz Szopena przebił sobie wszędzie drogę. Na programach koncertowych wszędzie się spotykamy z jego nazwiskiem. Mało można znaleźć młodzieńców i panien którzyby nie — maltretowali z upodobaniem Szopena. Przy nauce fortepianu metr używa kompozycji Szopenowskich, nad których akordami i figurami zamyślał się taki Moscheles. Jednem słowem — Szopen jest w modzie. Któżby bowiem wątpił że większość tych, którzy go grają, nie rozumieją go wcale? Gdy jednak utwory mistrza tonów, dopiero w trzydzieści lat po jego śmierci stają się modnemi, to mamy w tem dowód znakomitej ich siły artystycznej, która jest wypływem znakomitej treści i nieprzemijającej wartości. Bo rzeczy drobne które wchodzą w modę, nie utrzymują się długo. A ponieważ z 17 października 1879 r. dzieła Szopena przeszły na własność ogółu i wolną jest konkurencja nakładców, przeto miejmy nadzieję, że w coraz tańszych wydawnictwach znajdą przystęp do kół coraz obszerniejszych.

Tem konieczniejszem jest postarać się o to aby podawano prawdziwego, autentycznego Szopena, więc z radością wszyscy przyjaciele muzyki powitają: Pierwsze krytycznie przejrzane wydanie dzieł Fryderyka Szopena, nakładem Breitkopfa i Härtla w Lipsku".

Im dzieła Szopena staną się popularniejszemi, tem ważniejszem będzie dla nauczycieli i uczących się, nietylko poznajomienie się z właściwościami mistrza, ale i z jego brakami. Szopen zanadto się wyrywa z form utartych, „pointe" zbytnio go pociąga, zanadto on unika stałej krystalicznej budowy w utworach swoich, żeby jego kompozycji można było używać do celu nauczania. Staranny i ostrożny wybór poleca się w tym wypadku stanowczo. Początkujący powinni naprzód poznać dobrze formy klasyczne, zanim się poznajomią z romantykami igrającymi z tą formą.

Ci którzy uczą muszą się zżyć z Szopenem, aby w danym razie podać uczniom prawdziwe wskazówki.

W tym celu przedewszystkiem, trzeba mieć pogląd na całość twórczości muzycznej tego mistrza. Szopen ułatwił nam to bardzo, jakkolwiek z tem uzdolnieniem mógł on wydać znakomite rzeczy w innych dziedzinach muzyki, to jednak ograniczył się z zupełną świadomością na jednym tylko dziale, w który mógł swe powabne, dziwnie porywające właściwości swobodnie rozwinąć i muzycznie przedstawić; z wyjątkiem kilku piosnek i dzieł muzyki kameralnej pisał wyłącznie na fortepian; a nawet i tu wyszukał zakres ciaśniejszy i przeważnie wybrał sobie formę walców, mazurków, nokturnów i preludjów i wlał wnią całą pełnią poezji muzykalnej, którą miał do rozporządzenia. Można więc Szopena całkowicie poznać i przestudjować na fortepianie. Dla uczących i uczących się pożytecznem być może wydawnictwo dr. Teodora Kullaka, pod tyt. „Instructive Ausgabe" zdodaniem palcowania i uwag objaśniających.

Przy studjowaniu tak subjektywistycznego kompozytora jak Szopen, biografia ma szczególniejsze znaczenie. Aby ocenić dobrze ich treść duchową, trzeba poznać osobistość kompozytora; ze studjowaniem utworów, równocześnie powinno iść studjowanie żywota mistrza. W tym celu poleca się biografia Szopena przez Liszta napisana z gorącym pietyzmem i uwielbieniem. Jednak właściwie biograficzna część tego pięknego dzieła potrzebuje uzupełnienia i poprawek; i tak n. p. Szopen nie urodził się w 1810 lecz w 1809; chorowitość jego nie była tak znaczną jak to Liszt sądzi; było to nikłe dziecko, które się jednak wzmocniło w pieczołowitych i kochających rękach rodziców; dopiero późniejsze, nawet ostatnie lata sprowadziły chorobę, która zadała śmierć przedwczesną; i protekcja ks. Radziwiła powinna być sprowadzoną do mniejszej miary i t. d. Natomiast istotę artystyczną i ludzką w Szopenie nikt lepiej od Liszta nie przedstawił: z darem wieszczym i gorącą sympatją prawdziwej przyjaźni stworzył Liszt ducha swego przyjaciela; niektórych męczą kwieciste, obrazowe, często od przedmiotu odchodzące wywody Liszta, nas książka pod każdym względem zadowoliła, bo z książki tej znać prawdziwego artystę.

Liszta uzupełnia dzieło Maurycego Karasowskiego, którego pierwsze wydanie wyszło w r. 1877 a drugie w r. 1878. Znajdujemy w niem wiarygodną, dokładną, pełną miłości i szacunku biografię Szopena. Do szybkiego zorjentowania się może służyć odczyt Nigglego, który się pokazał w IX zeszycie zbioru muzycznych wykładów hr. Waldersee (Sammlung musik. Vorträge. Leipzig. Breitkopf und Härtl 1879).

TEATR.

Różowe domina, pp. Hennequin i Delacourt.

„Wiele jest rzeczy na ziemi i w niebie" etc. mówił Hamlet. Co do nieba sprzeczać się się z nim nic myślimy, bośmy tam jeszcze nie byli; ale co się tyczy ziemi, stanowczo zgadzamy się z jego twierdzeniem, że na niej pełno cudownych zjawisk, z tą tylko różnicą, iż tegocześni filozofowie wszystkie już sobie i nam wytłomaczyli.

Do tych cudownych faktów zaliczyć nam wypada okoliczność, iż na przedstawieniu »*Różowych domin*« teatr był przepełniony.

Niechaj sobie Hamlet i prawdziwy smak estetyczny mówią co chcą o naszej niedojrzałości, to jednak ja i kasjer teatru dostatecznie zgłębiliśmy naturę tego cudu. Tytuł ponętny i autorowie, sprawcy tylu rozkosznych chwil, służą nam za podstawę naszego twierdzenia, a przedewszystkiem nadzieja ujrzenia na scenie jakiegoś skandaliku okrytego maską karnawałową, i pewność po nad wszystko-dominująca, że nie wysilimy naszych mózgów śledzeniem przebiegu rozwiązania jakiejś zagadki życiowej. I cóż dziwnego, że nie chcemy zaprzątać naszej myśli czemś, coby było „dla jej podniebienia kawiorem" — a przestajemy na potrawie doświadczonej już przez nas pożywności i smaku? Niech kasjer wspomniany rozstrzygnie. Na sam widok afisza, twarz mu się wyjaśniała, uśmiech szczęścia, od tak dawna jej obcy, okrasił różem te wybladłe i chude policzki, oko zabłysło nadzieją życia, ręka machinalnie przesunęła się po... łonie — niebezpieczeństwo tyfusu głodowego przeminęło. Gloria in excelsis. . farsie francuskiej!

Na przedstawieniu bawiliśmy się wszyscy wybornie, zwłaszcza w akcie 2gim wszyscy; młode panienki, matrony poważne; uczniowie i nauczyciele; farbowani i srebrnowłosi dziadkowie i t. d. Na rozpromienionych twarzach młodych pań rysowała się z lekka pewna zawiść do suberetki, tego celu hołdów tylu *naraz* wielbicieli. Uciecha była powszechną. Najdrobniejszy odcień *smacznych* dowcipów i *podniosłej* akeji nie uszedł uwagi naszej. Młode główki i serca panienek i młodzieńców pojmowały *figlarne* sceny dokładniej nawet i prędzej niż głowy starszych, bo tym wrażliwość zleniwiała już cokolwiek z przesytu.

W wieku *światła Jabłoczkowa* dziwić się temu nie można. Młode umysły są zwykle pojętniejsze, a im je prędzej wykształcimy teoretycznie w kwestji niewierności małżeńskiej, tem prędzej doczekamy się z nich pociechy. Droga doświadczenia długa i żmudna.

Moralistom za całą odpowiedź niech służą słowa kasjera: „Śliczna sztuka; cztery razy kasa pełna; takie dawać, bo innych publiczność nasza nie lubi."

Artyści grali z wielką werwą — kto wie nawet czy, nie ze zbyt wielką trochę, a to o tyle nie, o ile miejscami dawały się czuć pewne improwizacje. Na wyszczególnienie zasługuje najpierw p. Zamojski, który w roli Baubisson'a ubawił nas serdecznie. W najdrażliwszych miejscach umiał zachować miarę, tak, że nagość akcji niejako przykrywał szczerym, naturalnym komizmem, pełnym życia i prawdy, pomimo że autorowie prawie gwałtem ciągną aktora do przesady. Ta miara estetyczna jest zwykłą cechą artysty naszego.

Role żon próbujących wiary swych mężów, choć powodują akcją, są dosyć bierne. Spoczywały one w rękach pp. Ładnowskiej i Woleńskiej. Dla pni Ładnowskiej stanowczo rola nie odpowiednia, artystka ta tylko w dramacie może oddychać swobodnie. Dla czego nie przydzielono jej pni Parżnickiej, której od tak dawna nie widzieliśmy na scenie.

Pni Zimajer, jak już powiedzieliśmy, była suberetką budzącą zawiść w płci pięknej; to dosyć.

Pni German byłaby przepyszną żoną, mającą męża i miotłę za sprzęt domowy, gdyby więcej zdawała sobie sprawy ze sytuacji i tym sposobem nie wypadała tu i owdzie z charakteru.

Pp. Lubicz i Woleński dzielnie wspierali autorów humorem; zwłaszcza pierwszy był zupełnie w swoim żywiole.

P. Skalski grał *idealnie Zahlkelnera*.

P. Walewskiego musimy chyba posądzić że jest w tej samej fazie niedoświadczenia młodzieńczego, w jakiej autor stawia postać Henryka, z taką naturalnością nam się przedstawił. Życzymy mu tylko trochę więcej *wykwintnego ułożenia*, brakiem którego nieraz grzeszy.

Za pną Sułkowską pobiegło nie jedno oko aż za kulisy, w grono wesołych biesiadników, do których ona stosownie do roli swej dąży.

Bufet maskaradowy był świetny; kredens *błyszczał* nawet osobliwościami *antykowemi*.

G.....la.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura

⁂ Nowe studjum dra Ochorowicza, będzie wkrótce drukowane w „Ateneum" p. t. „Bezwiedne tradycje ludzkości"

⁂ Zeszyty 33 i 34 „Bibljoteki umiejętności prawnych" mieszczą dwie monografie specjalne „Forma kontradyktoryjna w ustawie postępowania sądowego cywilnego z dnia 20 listopada 1864 roku," przez doktora Antoniego Okolskiego i „Seperacja i własność ziemska gminy", studjum porównawczego prawa i teorji zarządu przez dra pr. J. B. Oczapowskiego.

⁂ W szeregu „Wieczorów powieściowych" wyszła obecnie nakładem Ungra powieść p. Władysława Korwina „Królewski domek".

⁂ Wawrzyniec hr. Engöstrom wydał nakładem Wł. L. Anczyca i spółki bardzo wyczerpujące studjum o jednym z najznakomitszych uczonych świata — Janie Jakubie Berzeljuszu.

Ciekawą tę ze wszech miar rzecz przypisał autor J. I. Kraszewskiemu w dzień jego jubileuszu.

⁂ Ukazał się przekład eurepidesowej „Medei", dopełniony przez p. Stan. Grabowskiego.

⁂ W numerze 1-ym z r. b. „Gospodyni wiejskiej", pisma illustrowanego dla kobiet, oprócz pożytecznych wskazówek, dotyczących wyrobów przemysłu domowego jak sztuczne kwiaty itp., rozpoczyna się ciekawa rzecz p. t. „Gastronomia" z dewizą wyrzeczoną przez J. I. Kraszewskiego: Narody cywilizowane bawią się wymyślną kuchnią,

która staje się u nich kunsztem, a ciągnie za sobą często utratę zdrowia i choroby".

*** Wspominaliśmy już o wydawnictwie p. Elizy Orzeszkowej i Spółki w Wilnie.

Obecnie doszło już naszych rąk pierwsze dzieło tego pochwały godnego przedsięwzięcia.

Jest niem studjum społeczne p. t.: Patrjotyzm i kosmopolityzm", napisane przez p. E Orzeszkową.

Zanim pomówimy szerzej o samej książce dziś zaznaczamy tylko fakt, świadczący o energicznej działalności tej tak płodnej autorki.

*** W tych dniach ukazał się w Wiedniu przekład niemiecki znakomitej powieści Józefa Korzeniowskiego „Spekulant".

Tłumaczenia poprawnego dokonał br. Paumann (Hans Sachs), który niejedną rzetelną przysługę oddał już literaturze naszej.

*** W nowo wychodzącem w Petersburgu piśmie „Russkoje bogatstwo" zamieszczony został przekład poematu Syrokomli: „Spowiedź Korsaka" przez p. Trefolewa.

*** W Wiedniu p. Radiwoj Poznik, literat słoweński, wydaje zbiorową książkę p. t. „Almanach Słowiański", która zawierać będzie utwory we wszystkich językach słowiańskich, a mianowicie: w polskim, czeskim, rosyjskim, słowackim, serbskim, chorwackim, słoweńskim, bulgarskim, małoruskim i łużyckim; każdy z tych języków ma w książce swój osobny dział.

*** Kosmos, czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie XII. z r. 1879, zawiera: 1. O zależności punktu wrzenia od budowy drobinowej węglowodorów tłuszczowych, przez Bronisława Lachowicza. 2. Kilka słów o Xerryken'a metodzie, przez dr. M Dunin Wąsowicza. 3. Przegląd krytyczny podręczników przeznaczonych do wykładu nauk przyrodniczych w szkołach średnich przez prof. Fr. Tomaszewskiego. 4. Notatki naukowe Szymona Trusza, asystenta botaniki. 5. Kronika naukowa przez L. Hudly'ego, T. Radziszewskiego, K. Zubera i F. Mrozowskiego. 6. Wiadomości bieżące.

*** N. 6. Gazety Rolniczej zawiera: 1. Ignorowane Skarby, przez Michała Girdwoynia. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, przez dr. Juljusza Au. 3. Z działu uprawy roli, przez Dr. A. Sempołowskiego. 4. Sprawozdanie ze zwiedzania niektórych majątków krajowych przez dra. T. Kowalskiego. 5. Przegląd literatury rolniczej przez M. S. 6. Kongres rolników austrjackich w Wiedniu. 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Poradnik gospodarski. 11. Kurjer rolniczy. 12. Fejleton zawiera rozprawę p. t. „Z moralnej strony stosunków wiejskich" napisaną przez Juljusza Łapickiego.

*** Autor „Podróży do kraju miljardów" napisał nowe dzieło p. t „Voyage au pays des Tziganes".

*** Król portugalski, don Ludwik, który przełożył na język portugalski „Hamleta", obecnie dokonał tłumaczenia „Kupca weneckiego" i wydał je na widok publiczny.

Nauka.

*** Szerokie obecnie budzi w sferach naukowych zajęcie praca uczonego angielskiego, p. Crookes, który rozwija i stawia na poważnym gruncie hypotezę Faraday'a o czwartym promienistym stanie ciał.

Dotąd, jak wiadomo, znano trzy stany ciał: stały, płynny i gazowy.

Nowy stan promienisty ma być w takim stosunku do gazowego, jak ten ostatni do płynnego.

P. Crookes w sprawie tej miał właśnie w Paryżu dwie ciekawe konferencje, ilustrowane doświadczeniami, a rzecz cała w audytorjum, złożonem z ludzi nauki, prawdziwe wywołała zdumienie.

Otóż dowiadujemy się, że podobno w uniwersytecie warszawskim przystąpiono do przygotowań w celu powtórzenia doświadczeń Crookesa.

*** W szwedzkiej izbie niższej postawiony został wniosek przyznania profesorowi Nordenskjöldowi dożywotniej pensji narodowej w sumie 4,000 koron.

*** Francuski minister oświaty utworzył sekcję dla historycznej geografi dawnej Francji. Zajmie się ona zbieraniem materjałów odnoszących się do topografij Francji od czasów najdawniejszych aż do roku 1879 i rozpoczęte już poprzednio prace w tym kierunku poprowadzi dalej. Do komitetu należą najznakomitsi znawcy starożytności Francji. Prezydentem jest Henryk Martin, a sekretarzami Barthelemin i Bertrand.

*** „Ofiara oświetlenia elektrycznego". „Graphic" donosi, że w teatrze Holtego w Aston pod Birmingham, po przedstawieniu, członek orkiestry p. Bruno przez nieuwagę ujął druty łączące machinę elektrodynamiczną z aparatem oświetlającym salę, i padł uderzony siłą prądu, a w czterdzieści minut później wyzionął ducha.

Prasa perjodyczna.

*** W Cesarstwie, Królestwie Polskiem i W. Księstwie Finlandzkiem wychodziło w roku zeszłym 608 rozmaitych pism czasowych.

W języku rosyjskim wydawano 417, w polskim 54, w niemieckim 40, w łotewskim 11, we francuskim 10, w estońskim 7, w ormiańskim 7, w hebrajskim 4, w tatarskim 4, w łacińskim 3, w gruzyjskim 3, w Finlandji w szwedzkim i fińskim 46.

Pomiędzy czasopismami rosyjskiemi było: 70 urzędowych i ziemskich 19 ministerjalnych, oraz 26 senackich, policyjnych i. t. p.; w ogóle więc było organów rządowych 115, które odliczywszy od ogólnej sumy 417, pozostanie na organa prywatne cyfra 302.

Pism politycznych wychodziło w języku rosyjskim 65, w niemieckim 17, w polskim 16, w fotyskim, estońskim i ormiańskim po 8, w hebrajskim 2, w fińskim i szwedzkim 27.

Pism poświęconych teologji i sprawom kościelnym było 27, prawnych 12, handlowych 11, wojskowych i marynarskich 11. historycznych i archeologicznych 9, geograficznych i etnograficznych 4, przyrodniczych i matematycznych 16, lekarskich farmaceutycznych i weterynarskich 22, rolniczych 24, myśliwskich, sportowych i szachowych 4, technologicznych i technicznych 7, budowniczych 7. filologicznych 4, pedagogicznych 17, literacko-politycznych 17, belletrystycznych 19, poświęconych sztukom pięknym 13, poświęconych młodemu wiekowi 19, ilustrowanych 20, humorystycznych 10, bibljograficznych 11, modom poświęconych 12.

W Cesarstwie na prowincji Saratów ma najwięcej pism perjodycznych, liczy ich 5.

W Kazaniu, chociaż to miasto posiada uniwersytet, nie ma ani jednego pisma politycznego.

*** Redaktor dziennika „Pueblo Chieftain", wychodzącego w południowem Colorado, ozdobił swoje biurko trupią głową, na której wyczytać można następujący napis.

„Człowiek ten wałęsał się nieraz w tem biurze, kradł dzienniki i naprzykrzał się redaktorowi zwykle wtedy, kiedy tenże jaknajmniej miał czasu, — jego kości policzkowe były nieraz w robocie i w końcu zostały zgruchotane, szkoda jednak, że trochę zapóźno — przechodniu na tym padole płaczu, weź sobie los jego za przestrogę".

Redakcja dziennika „Las Vegas Minco" w Nowym-Meksyku przylepiła na drzwiach swego biurka następujące ogłoszenie: Wstęp dozwolony tylko trzeźwym gentlemanom, którzy chcą złożyć należytość za prenmeratę lub inseraty: pijaków i nie abonentów wyrzuca się za drzwi".

Jeszcze charakterystyczniejszy napis odczytać można na drzwiach jednego z biur redakcyjnych w Waterloo (w Stanie Jowa).

Napis ten brzmi:

„Ktoby przestąpił ten próg, będzie za drzwi wytrącony."

Sztuki piękne.

*** Szkic do projektu „Ateneum" dla Warszawy, to jest nowego gmachu „Tow. zachęty sztuk pięknych", zamieściło czasopismo „Inżynierja i Budownictwo". Autorowie projektu są pp. F. Brauman i J. Dziekoński. Szkic ten przedstawia się nadzwyczaj okazale.

*** Z wiedeńskiego „Künstlerhausu".

W ostatnich czasach artyści nasi bardzo silnie i licznie zaprodukowali się w grodzie Habsburgów z pracami swemi, krytycy też wiedeńscy o wszystkich prawie wyrażają się z wielkiem uznaniem.

P. Alfred Kowalski, który od niejakiego czasu maluje obrazki tak zwane „zopfowe", wystawił „Piqueura" w stroju myśliwskim na koniu otoczonego gończymi

Być oryginalnym w tego rodzaju rzeczch, które mniej więcej stereotypowo się malują, jest już wielką zasługą a tę zasługę przyznaje powszechnie Kowalskiemu krytyka wiedeńska.

Niezbyt szczęśliwym jest Kurella ze swoim „Dworcem kolei żelaznej" — nie z przyczyny techniki, która u tego artysty jest nadzwyczaj wzorową — lecz poziomej treści.

Kurella dawniej poetyczniejsze wybierał tematy do dzieł swoich.

Rybkowski wystawił dwa olejne obrazki zadziwiające ekspresją i wykończeniem doskonałem drobnych postaci, a przedstawiające „Targ na słomę" i „Targ na garnki".

Ajdukiewicza „Targ w Kairze" roztacza w całej pełni talent znakomitego malarza, który pod wpływem wschodu potężnie się rozwinął.

Młody a utalentowany malarz krakowski Koniuszko zaprodukował się z nocnemi scenami: „Szabasem" i „Długą nocą".

Koniuszko w szkicach zawsze jest celny — szkoda, że nie ma cierpliwości w kończeniu...

Oryginalność Pruszkowskiego zamanifestowała się znowu w „Nimfach szybujących po wodzie".

Szkoda iż artysta poetyczne pomysły swoje psuje często nieestetycznymi dodatkami.

Mówimy tutaj o ciekawie umieszczonych różach na obrazie...

Akwarelle Tondosa i krajobrazy Mroczkowskiego „W jesieni" i „Przed burzą", jak niemniej pejzaż Benedyktowicza, wywołują także uznanie krytyków.

Z Paryża A. Piotrowski nadesłał „Chatę ukraińską" w porze zimowej, posiadającą zalety tego obiecującego malarza.

*** W Turynie 25 kwietnia r. b. otwartą zostanie pod patronatem króla włoskiego czwarta wystawa narodowa sztuk pięknych.

*** „Henryk Wieniawski", znakomity nasz skrzypek, powraca już do zdrowia. Lekarze uznali jednak za konieczny warunek, aby się wyrzekł na pewien czas muzyki, gdyż wzruszenia nerwowe przy występach mogą wywołać recydywę.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Wydział „Bursy Nowo - Sądeckiej" mającej na celu wspieranie ubogiej uczącej się młodzieży, ogłosił drukiem sprawozdanie z czynności swoich za rok 1879, z którego wyjmujemy następujące szczegóły. —

Towarzystwo miało w r. 1879 członków opiekunów 4, i członków zwyczajnych 74. Dochód w roku 1879 wynosił złr. 2132,c.85, rozchód zaś złr. 1748 c. 10, pozostało więc na r. 1880 złr. 384 c 75. Fundusz żelazny Towarzystwa z końcem roku 1879 wzrósł do summy złr. 2270 c. 1.

*** „W Tambowie." od dłuższego czasu istnieje szczególniejsza korporacja, pod nazwą „Towarzystwo bosych". Należą doń wydaleni ze służby z powodu pijaństwa urzędnicy, bankruci, kupcy, rękodzielnicy bez zajęcia itp. Towarzystwo wybiera z swego grona starszego, któremu każdy człowiek winien jest bezwzględne posłuszeństwo, oraz kasjera, zarządzającego ogólnemi funduszami. Członkowie towarzystwa zajmują się pokątną adwokaturą, wyłudzają większe datki pod różnymi pozorami, są więc rodzajem arystokracji pomiędzy żebrakami.

*** „Dzicy na wystawie". Na wystawie w Sidney brały także udział dzikie ludy, które dostarczały przedewszystkiem broni, czaszek i różnego rodzaju godnych uwagi przedmiotów. Dzicy australscy wystawili długie cienkie dziryty i drewniane albo plecione tarcze podługowate, wysadzone często żółwiami, krokodylami i t. d. które w ogóle tak są małe, że potrzeba wielkiej zręczności, ażeby z pomocą tej tarczy zasłonić się przed ciosem dziryta. Jako jedyny sprzęt domowy ukazały się na wystawie plecione z trawy worki, w których australczy-

cy w czasie marszów zachowują swoją żywność. Do ostatniej należą także liście rośliny Pituri, którą australczycy żują dla odświeżenia po wielkiem znużeniu sił swoich. Pomiędzy przedmiotami są niektóre dosyć ciekawe. Jeden z mieszkańców zachodniej Australii kochał swoją żonę do tego stopnia, że po śmierci ściągnął z niej skórę i wypchał ją trawą. Przedmiot ten dostarczony na wystawę wygląda obrzydliwie. Najciekawszą ze wszystkich była czaszka dostarczona z zachodniej Australii, której kość grubą była 14 do 15 milimetrów. Wiązania kości nie przedstawiały się w niej na zewnątrz tylko wewnątrz. Macleany z Sidney dostawił kolekcję płaskich czaszek z Mallicolo na nowych Hebrydach. Muzycznym instrumentem na tej wyspie jest wydrążony pień drzewa, w który uderza się młotkiem i głos jego rozlega się daleko po lesie. Najrzadszy przedmiot na wystawie stanowiły posążki bożków z straszliwemi ogórkowatemi nosami. Na wyspach Hawein oddają cześć boską siekierom kamiennym, których trzonki są nadzwyczaj misternie wyrobione. Mieszkańcy Fidżi odznaczają się niezwykłą zręcznością w wyrabianiu różnych przedmiotów. Ozdoby ich wyrabiane bywają z zębów rozmaitych zwierząt, z różnobarwnych muszli morskich, z kości i łusek hai. Najpiękniejszemi są z perłowej masy wyrabiane filiżanki i kieliszki.

*** Strasburgska gazeta gminna ogłasza spis 680 miejscowości, których nazwy przekształcono na niemieckie.

EMIL ZOLA W MÉDAN.

Médan jest małą wioską, liczącą dwieście dusz najwyżej i leży na lewym brzegu Sekwany, pomiędzy Poissy i Triel. Jest niższe i wyższe Médan, to znaczy, że z kilkunastu chat włościańskich niektóre są rozrzucone wzdłuż drogi do Triel, na pochyłości prześlicznego wzgórza, najeżonego tu i owdzie kępami wysokich drzew orzechowych, — podczas gdy reszta domków osunęła się na sam dół wzgórza, aż do nasypów zachodniej kolei żelaznej, która w tem miejscu biegnie równolegle z Sekwaną, o czterdzieści kroków od brzegu.

Ten zakątek departamentu Seine et Oise, jest nadzwyczajnie malowniczy. Same bujne łąki z pasącemi się na nich krowami, zasłony z wierzb i topoli, czworoboki jabłoni sadzonych w równoległe rzędy, gęste dębowe i orzechowe lasy. Droga zagłębiona między dwie pochyłości wzgórza okryte świetną zielonością — cienista, czysta, jak alea angielskiego parku. A po nad tem wszystkiem wielka zupełna cisza, którą przerywa od czasu do czasu przebiegający pociąg albo świst holownika przerzynającego zwolna rzekę i ciągnącego za sobą na linach, pięć albo sześć łodzi. Można by sądzić, że się jest o sto mil od Paryża. Prawdziwa wieś — sami wieśniacy. W całej gminie tylko jedna willa mieszczańska, należąca do P... tapicera z Paryża i zamek Médan którego właścicielem jest dzisiaj pan D... nieszczęśliwy kandydat stronnictwa zachowawczego w Ile et Vilaine. Takiem jest Médan.

A teraz — jak p. Emil Zola odkrył Médan.

Przypadek. Wystawa powszechna z r. 1878, brała w tem udział. Jeszcze w jesieni 1877 r. po powrocie z 5cio miesięcznego pobytu w Etraque koło Marsylji, p. Zola, który miał zwyczaj wynajmowania tu i owdzie na lato małego domku nad brzegami morza, tym razem postanowił postarać się o letnie mieszkanie w okolicach Paryża, od którego nie chciał się zbytnio oddalać z powodu przyszłej wystawy. Powiedziano mu o Triel. Ale płaskość okolicy, niedogodności wielkiej wsi zasianej grubo pretensjonalnemi willami mieszczan zniechęcają go.

— To ma być wieś?

I, że nie było jeszcze późno, Zola wynajmuje powóz, ażeby wsiąść na kolej dopiero w Poissy. W drodze przejeżdża przez małą wioskę, która trochę poprawia jego zły humor, że nie znalazł dla siebie nic stosownego. Droga wkrótce staje się bardzo malowniczą. W dziesięć minut znowu mała wioseczka. Pierwszy dom, który spostrzega — niewielki, ukryty w zieleni, oddzielony od wioski wspaniałą aleą drzew, spuszczającą się aż do Sekwany na której w tem miejscu, most z szynami kolei żelaznej — pierwszy dom, powtarzam, który spostrzega, daje uczuć Zoli to, co Stendhal w miłości nazywał «uderzeniem piorunu». Tylko, że nad drzwiami tego domku wisiał napis «na sprzedaż». Zola, który nie miał żadnej chęci zostać właścicielem, wstąpił pomimo to, mając nadzieję, że przyprowadzi do skutku wynajęcie — lecz spotkał się z wolą nieugiętą, i wtedy nastąpiła w nim walka kilkugodzinna, która skończyła się u notarjusza.

Nabył mały domek za dziewięć tysięcy franków; bagatelka! Mały domek wyglądał jak ferma — ogród był mikroskopijny. W kilka tygodni potem, stolarze, mularze, tapicerowie wstąpili weń, ażeby go przygotować na przyjęcie gospodarstwa. Nie wychodzili odtąd. Bo gdy ukończyli na prawę małego domku, Zola kazał im zbudować duży. Wzniesiony on został według jego własnego pomysłu, zastosowany do jego potrzeb prywatnych, do zawodu, do dwóch występków Zoli: stołu i pracy; do tych wszystkich cnót mieszczańskich, które sprawiają, że jego matka, żona i małe kółko bardzo nieliczne, ale za to z pewnych złożone przyjaciół, rzuciłoby się za nim w ogień. Ten drugi dom pomnoży cenę kupna dziesięciokroć — ładna cyfra!

Nadeszła chwila zaspokojenia żywej ciekawości. Wszyscy są teraz strasznie ciekawi, jest to chorobą wieku. Nadam czytelnikom przywilej patrzenia przez ściany, tak jak gdyby dom był szklannym. Nie uprzedzając naszego wieśniaka że na niego patrzą, policzymy jedna za drugą wszystkie pulsacje jego całodziennego życia — życia Zoli w 39 latach, kończącego słynny swój romans «Nana».

Ósma godzina rano. Zola budzi się w wielkim angielskiem łóżku z polerowanej miedzi. Podczas gdy się ubiera — ubranie prawdziwego wieśniaka: kurtka i spodnie aksamitne, ciemnoorzechowe, buty palone myśliwskie — rzuca okiem przez wielkie gładkie zwierciadło zawieszone nad kominkiem na roztaczający się krajobraz. Sekwanna tego poranku jest zupełnie białą, a topole na przeciwko leżącej wyspy toną w lekkiej mgle.

Zaledwie wstawszy, Zola wychodzi ze swemi dwoma psami: pysznym Bertrandem, dużym terreneuvem i maleńkim Rolonem. Czasami i pani Zola należy do tego rannego spaceru. Kierują się w dużą aleę, przechodzą most kolei żelaznej. Otóż i Sekwana; spacerują trochę nad brzegiem. Jeżeli woda nie jest zimna, Bertrand bierze kąpiel. W pół godziny wszyscy już są z powrotem, na pierwsze śniadanie. Godzina dziewiąta — do pracy. Tutaj, w nowym gabinecie, wszystko jest ogromnem. Co do rozmiarów gabinet malarza historycznego. Pięć i pół metrów wysokości, na dziesięć długości i tyleż szerokości. Komin olbrzymi, na którym drzewo całe, upiekłoby barana całego. Alkowa jest tak wielką, jak spory nasz pokój paryski, a zajmuje ją niemal całą szezląg, na którym dziesięciu ludzi mogłoby spać razem wygodnie. W środku gabinetu stoi ogromny stół, przy którym Zola i cała jego szkoła mogliby pracować jednocześnie. Nakoniec, naprzeciwko stołu obszerny otwór oszklony, wychodzący na Sekwanę. Nie mówię o rodzaju trybuny wzniesionej nad alkową i szezlągiem, na którą się wchodzi przez kręcone schody: jest to biblioteka. Przez inne znów schody wchodzi się na czworokątny taras, otoczony poręczą, wyższy od całego budynku, widoczny daleko ze wsi, który daje przepyszny widok.

Od dziewiątej do pierwszej, tam, przy ogromnym stole Zola opracowuje jeden z ostatnich rozdziałów Nany. «Nulla dies sine linea» — taki jest napis złotemi literami wyryty w ścianie nad kominkiem: Co zrobi Zola przez te cztery godziny? Codzienny swój obowiązek — trzy stronnice najczęściej; czasem dwie rzadko kiedy cztery. Ćwiartki grubego szkolnego papieru, ćwiartki trzydziestowierszowe bez marginesów, zapełnione pismem pewnem, zbitem i równem, prawie bez przekreśleń.

Zola pracuje według notatek przygotowanych naprzód, zaczynając codziennie od miejsca w którem przestał, często w środku zdania, nie odczytując nigdy tego, co napisał przedtem — dla wciągnięcia się jak to potrzebują czynić inni pisarze. Jego metodyczna regularność daje mu taką pewność, że naprzykład w dzień, w którym rozpoczyna się druk Nany, powieściopisarz ma jeszcze trzecią część książki do skończenia. Pomimo to, wszystko jest w porządku i tak dobrze obrachowanem, że można być zupełnie spokojnym. Zola skończy na czas bez spieszenia się, nie opuszczając jednego zdania, jednego wyrazu niedostatecznie obmyślanego. Podczas, gdy jego pan pisze, Bertrand w kącie chrapie. O pierwszej godzinie drugie śniadanie. Zola oddaje się z równą gorliwością swemu drugiemu występkowi — łakomstwu, tej literaturze podniebienia. O godzinie drugiej siesta. O trzeciej przybycie listonosza. Listy i dzienniki przyniesione przez służącego budzą pana. Dzienniki! mogę tutaj wymienić te które otrzymuje Zola: le Gaulois, Figaro, i l'Evenement, które sam prenumeruje; dalej Voltaire, którego jest krytykiem dramatycznym. Pomijam milczeniem inne, które mu przysyłają darmo, jak np. la Reforme Revue moderne et naturaliste, la Lanterne i wiele innych, oraz dużo dzienników włoskich. Łatwo domyśleć się z nazwy trzech wielkich dzienników za które płaci, szczególnego zamiłowania Zoli do prasy tak zwanej informacyjnej. Czyny a nie frazesa! Dowody! oto czego kierunek jego umysłu wymaga. Zapatruje się na te wydawnictwa jako na drogocenną charakterystykę naszych czasów. Le Temps naprzykład czyta tylko raz na tydzień w dniach Sarcey'a. Co do listów jest niemi zarzucony, zwłaszcza od lat kilku. Do Zoli przychodzą listy ze wszystkich stron świata. Z samych Włoch odbiera do piędziesięciu mie sięcznie. Niektóre z tych listów są szalone, większa część pospolitych, zdarzają się wszakże i godne uwagi. Nie zadziwi was, że autor Rougon Macquartów bywa często zmuszony nieodpowiadać wcale. Niechciał mieć nigdy sekretarza, będąc jednym z tych ludzi, którzy lubią wszystko robić sami.

Gazety przeczytane — godzina czwarta. Przed obiadem spacer, polowanie, rybołowstwo mogłoby i powinno posłużyć za rozrywkę w życiu, tak umysłowo przeciążonem. Zola posiada wszystko, co do tego potrzeba: pozwolenie na polowanie, wędki i inne przyrządy. Nana jest prześlicznym małym statkiem pomalowanym na zielono, a pan Emil Zola umie doskonale robić wiosłem. Naprzeciwko domu leżą dwie wyspy, oddzielone od siebie wązkim przesmykiem: La Couleuvre» niezamieszkała, okryta świetną zielonością, zdaje się zapraszać. Ale Zola popełnia ten błąd do niedarowania, że zamało się przechadza. Jego robotnicy jedynie posiadają dar odrywania go na chwilę od jego ideé fixe. Wspina się z nimi po drabinie objaśniając ich sam i obchodząc się doskonale bez budowniczego. Mały dom i duży ukończywszy, Zola opanowany manią budowania, ma zamiar wznieść obok nich trzeci, ładniutki i miluchny domek dla przyjaciół. Tam ładne, małe pokoiki otworzą się w razie przyjacielskich wizyt. Malarze: Manet, Cézanne, Quillemet, Beliard, Numa Coste, rzeźbiarz Solari, wydawca Charpentier, literaci: Flaubert, Goncourt, Daudet, Duranty, Marius Roux — następnie młodzi: Henryk Céard, Leon Hennique. J. K. Hoysmans, Guy de Maupassant i ten, który kreśli te wyrazy — że wymieniam tylko najbliższych.

Nakoniec po objedzie, który odbywa się bardzo późno, skończywszy serdeczną pogadankę z żoną i matką, ten prawdziwy mieszczanin, kładzie się około dziewiątej do łóżka. Wszystkie lampy gasną, oprócz lampy w dużym pokoju. Do późna w nocy pan domu czyta, bo tylko na wsi ma czas czytać. Mogę wymienić, jakie książki czytał tego lata: wiele książek z dziedziny historji i sztuki, ponieważ zajmuje go więcej ogólny ruch umysłów, aniżeli indywidualne studjowanie osobistości. Tak podczas ostatniego lata odczytał całego Claude Bernarda dla napisania swego studjum: le roman experimental; również w tych dniach przeczytał prawie całe: les Lundis de Saint-Beuve, dla studjum o tym krytyku, które posłał do Rosji. Od czasu do czasu podczas tego czytania pociągi nocne przechodzą blizko okien, wstrząsają na chwilę domem i przedłużają swój hałas wśród głębokiej wiejskiej, ciszy. Zola przestaje czytać, słucha, zamyśla się na chwilę, potem powraca do książki. Nakoniec zasypia myśląc o wspaniałym romansie współczesnym, któryby można napisać o kolei żelaznej.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Minor... we Lwowie. Sonet nie będzie drukowany w Tygodniu.

P: P: Olo... i K... R... we Lwowie. Przed odczytaniem utworów — nic powiedzieć nie możemy.

Treść Nr. 7.

	str.
O chlebie literackim	113
Dziwne karjery, powieść przez Jana Lama (c. d.)	114
Szkice z literatury moskiewskiej, przez dr. Stellę Sawickiego.	116
Klemens Boruta, nowella przez W. Okońskiego	119
Listy z Czech A. S. Polabsky'ego	120
Na nowy temat, wiersz, przez Czesława.	121
Spadek 500 milionowy, powieść przez Juliusza Verne'a (c. d.)	121
Magnetyzm zwierzęcy, przez dr. Steina	123
Kronika tygodniowa	124
Literatura Szopenowska	125
Teatr	110
Wiadomości z kraju i ze świata	111
Emil Zola w Médan	128
Od Redakcji	128

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.